

Budnik



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Budnik

OBRAZEK

W ciągu lat dwudziestu kilku *Budnik* dożył wydań kilku i tłumaczenia na język niemiecki. Autor we własnej wiosce miał budników i mógł się ich obyczajom przypatrzeć, a malował, jak zwykle — z natury. Leżało w ogóle wówczas na sercu wprowadzenie naszego własnego, rzeczywistego świata do powieści w miejsce konwencjonalnych obrazków, a nawet salonowych historyj, które barwy ani charakteru nie mają nigdy innej nad — kosmopolityczną. Leżało też na sercu równouprawnienie w obec sztuki tych klas społeczeństwa, które przedtem nie miały prawa ani do sceny, ani do romansu, ani do obrazu, chyba przeodziane w jakąś szatę skrojoną przez urzędowego krawca... *Budnik* należy do tego szeregu, w którym się mieści *Ułana*, *Ostap Bondarczuk*, *Jermoła* i inne powieści z życia ludu... Dziś i ten lud wcale inaczej wygląda. Co było powieścią stało się — powtarzamy — historją prawie. — Stare dzieje! ćwierć wieku przysypało ich grób, a na nim zielenią się nowe kwiaty.

6. Stycznia 1874.

I

Chociaż od niejakiego czasu nie zbywa nam na pisarzach, w kraju szukających przedmiotów i natchnienia do swoich obrazów, wiele stron naszego życia, wiele okolic kraju, wiele charakterów właściwych nam, pozostały piórem nietknięte, myślą jeszcze niedoścignione. Tak giną i zapadają w przeszłość, bezpowrotnie może, liczne obrazy, któreby dopełniły późno przedsięwziętą, pojętą późno historją wewnętrzną; gdyż wkrótce i dziejopis nawet w zamilkłych podaniach nie znajdzie śladu wielu stron przeradzającego się w nowe oblicze życia.

Dawniej wszystko, czego nie zapisały kroniki, krystalizowało się w podaniu idealizującym na swój sposób historją; dziś wszystko się powoli zapomina, lub dziwacznie, ubogo, sucho, w kilku słowach, jak pogardliwa jałmużna, rzuca się nadchodzącej przyszłości. Lecz kto wie? może na mogiłach podać wyrosną dopiero poetyczne ich kwiaty.

To rzecz pewna, że rozmaite miejscowości zaledwie dziś (nie mówię zbadywane), ale rozpatrywane być poczynają. Ciekawość powierzchownym poglądem chce chwycić obraz, który się wyciska na przelotnej podróźnego karcie, martwo i płasko. Trzeba żyć w kraju, w kątku, który się ma opisać żywo; trzeba by między nim a nami był związek nietylko przedmiotu obserwacji z ciekawością postrzegacza, ale związek żywotny, serdeczny, inaczej obraz da tylko powierzchnię bez ducha. Wieleżto ciekawych pozostało okolic, nietkniętych dotąd, pominiomych, z którymi oswojeni ci, którzy w nich życie wiodą, nie śmieją, nie umieją, nie mogą przerzucić na papier co widzą: bo nie czują znowu ważności przedmiotu, który jest ich chlebem powszednim.

Dosyć już dawno czytając podróz jakiegoś angielskiego turysty, który z nad brzegów Gangesu, przez Persję i Kaukaz, potem przeryzując się częścią Wołynia, spieszył do Londynu, opisując po drodze Młynów i Torczyn bardzo powierzchownie i pociesznie, pomyśleliśmy: że opis własnego dobrze znajomego kraju, okolicy, mógłby przecież być zajmującym. Wydana próba wzbudziła naśladowców, którymi niech się nam będzie wolno poszczycić. Za Wspomnieniami Wołynia, poszły w ślad Wspomnienia Podola, Żmudzi i Wielkiejpolki. Lecz wszystkie, a naprzód próbka nasza, jakże są jeszcze dalekimi od

tego, czemuby podróż po własnym kraju być mogła i powinna! Ile zajmujących tajemnic pozostało za szrankami tych ksiązek, które szukały w miastach, pańskich dworach i pałacach, na gruzowiskach i ruinach zamczysk, przedmiotów do obrazów jednostronnych i niepełnych. Ileto razy przyszło nam żałować pośpiechu, myśląc jakby go nową pracą wynagrodzić.

Dziś wszakże nie przychodzimy do was, miłośnicy czytelnicy, ze wspomnieniem podobnym, ale z powieścią, której treścią prostą będzie obrazek żywota klasy ludu najmniej może znanej, zamieszkującej lasy Polesia wołyńskiego.

Ta odrębna obyczajami, językiem, wiarą i twarzą różniąca się wielce od otaczającego ją plemienia garść przychodniów, oddawna tu osiadłych, pospolicie zowie się *Budnikami* lub *Mazurami*. Pierwsze z tych nazwań pospolitsze.

Pochodzenie tych osadników, nazwisko Mazurów, mowa ich, dochowany nieco akcent i obyczaje, dostatecznie wyświecają; lecz ani powód wędrówki, ani czas kiedy tu przyszli, nie jest nam wiadomy. Wszyscy prawie od bardzo dawna, lat dwóchset i więcej zamieszkali w tym kraju, lecz niejedna rodzina zmieniała kilkakrotnie chatę i przenosiła się z miejsca na miejsce. Prócz szlacheckich nazwisk rodowych, żadnych pamiątek pochodzenia swego, żadnych piśmiennych jego nie dochowali dowodów.

Osady te Mazurów nie są wsiami, nigdzie prawie kilku chat razem niewolniczo skupionych nie znajdziesz, wszystkie rozpiezchłe po lasach i puszcach, najczęściej pojedynczo na wzgórzach, u ruczajów nieopodal dróg siedzą. Lecz w jednej okolicy, rozległej puszczy, w jednym obrębie lasów zwykle kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt rodzin razem się mieści, choć oddzielonych od siebie znaczną niekiedy przestrzenią. To rozstrzelenie ich nie wpłynęło bynajmniej na pomieszanie z ludem okolicznym, na zatarcie pochodzenia, zapomnienie mowy, a nawet nie zmusiło ich do zawierania związków z Rusią otaczającą. Mazurowie pozostali po największej części sami sobą i wierni pamięci swego rodu, który wysoko, choć bez żadnej przyczyny wynoszą.

Odosobnienie ich, osamotnienie, rodzaj życia dzikiego, zajęcia dziś znacznie zmienione po wyniszczeniu lasów, które oni wprzód wyrabiali na belki, klepki, smołę, dziegieć i potaże, musiały przeważnie wpłynąć na ich obyczaje i stan moralny. Tak się też stało. Ci ubodzy bud leśnych mieszkańcy są dziś może najbiedniejszą i najsmutniejszą, litość wzbudzającą klasą mieszkańców Polesia.

W początkach osadnicy ci, może dla swej zręczności w pędzeniu smoły, wyrabianiu dziegciu i wygotowywaniu z popiołów korytnego i kotłowego potażu sprowadzani, zapewniony mieli dobry byt samym pracy dostatkiem. Później, gdy przenoszącym się z opustoszałej puszczy jednej do drugiej nie stało zajęcia; gdy z robotników dobrze płatnych, przeszli na nędznych leśnych tułaczy; odwykli od roli, do której i ochoty im braknie, ledwie mając za co kilka kóz i chudą kupić krowę, nie zawsze szczęśliwi myśliwcy, zubożeli do ostatka. Długi pobyt na tej ziemi zacierając pamięć okolic z których wyszli, zabraniał im powrotu, o którym i nie myślał nawet.

Ogromne tutejsze puszcze, których proste jak trzciny, jak trzciny gładkie sosny masztowe wznosiły wieki, których dęby potężne, wancosów i klepki tak długo dostarczały do Gdańska i Królewca, których gęstych zarośli tyle się w popiół popłatny zmieniło; dzisiaj stały się smutną pustynią, gdzie zwierza spotkać, drzewa dorodnego znaleźć trudno. Łosie, dziki i sarny i ptastwo nawet uciekło z gołych borów na nieliczne gęstwiny, które trzęsawiska otaczające lub dziwny przypadek od chciwego wyrobku do szczętu ochronił.

Gdzie przeszedł budnik z siekierą swoją na plecach, z sznurkami powiazaną strzelbą na ramieniu, głucha po nim cisza i pnie tylko po nim zostały a spróchniałe kłody. Gdzie zaś sosnowe lasy wyrobiono aż do balów i murlatów, tam w ostatku dziedzi i pnie nareszcie na łuczywo, z którego się pędzi smoła, powydobywać kazał. Widok lasu zniszczonego w ten sposób jest czemś dziwnie smutnym; jest ruiną, gorzej, bo wielkim zdaje się cmentarzem, na którym śmiesznie byłoby zapłakać, a nie można się oprzeć smutnemu wrażeniu.

Gdzież bowiem dzisiaj te puszcze nasze szumiące wśród uroczystej ciszy wieczora?!... Teraz odkryte bagniska i trzęsawy, które porasta szorstki wiszar i bobownik, gołe, smutne, obrosłe po brzegach choiną niską i krzywą; zdają się placem potyczek duchów, które zbiegły z przerzedłych puszczy w gęste, wysokie trawy i osoki. Gdzieniedzie kępina gnidnikiem i mchem pokryta, zdaje się wyzywać nogi myśliwca, by je zdradliwie osuwając się,

w niezgruntowane trzęsawiska pograżać. Ówdzie woda na pozór czysta dłoń twą nęci, by zaczerpnąć; lecz po jej brzegach poznasz, że rudą przesiąkła, a barwa i woń do ust donieść nie pozwolą. U zgniłych palów, które starych łąk granice znaczyły, znajdziesz w próchnie wylęgającego się węża; na każdej kałużce żabę z otwartymi oczyma wpatrującą się w ciebie; na każdym źdźble trawki uwieszonego komara, który cię nudzi piosnką i otacza chmurą żadeł nieodegnaną. Dziwnego kształtu muchy, koniki i jak pył drobne stworzenia, które na wiosnę wciągnięte z tchnieniem zabijają bydło, unoszą się tu gromadami: to pojedynczo, to w słupach ogromnych, wirując w górę kołysane wiatrem wieczornym.

Lecz powróćmy do lasów. Tu niemniej dziś smutno i ciężko spojrzeć dokoła. Żadna sosna wyniosła, żaden dąb stary, zielonej głowy nie podnoszą w górę. Na pobojuwisku zostały tylko młode brzezinki, żółta wypalona i nieżywa sośnina, puszczone dla trawy pożarem zabita łoża, trzmielina, krzak olszyny z pniem czerwonym w pośrodku, białe trzaski osiczyny i sokoru, lub skrzywiona, wychylona, poopaalana zewsząd, na nic nieprzydatna już, a na tym cmentarzu sama jedna dogorywająca choina. Poniżej, łoża liści przegniłych przebijają pokorni lasów mieszkańcy, najdłużej pozostali, bo najmniej potrzebni: krzaczki, bagna, wrzosu, czernicy i kruszyny, wyglądające bojaźliwie i tulące się do pogniłych pni dawnych swoich opiekunów. Natomiast bujne strzeliły roczne kwiaty, które zleciały się na żyzną ziemię jak na pastwę; ich jasne główki kołyszą się wesoło, jaśniejąc mnóstwem barw, z tą żalobą lasów dziwnie sprzecznych. Lecz gdzież upadek jednych, nie jest powstaniem drugich? Na cmentarzu tej arystokracji roślinnej, lud wesoło porasta i śmieje się rozsypując dokoła korzonki swe i nasionka.

Zgniłe kłody, obsypane trzaskami doły, z których pnie smolne wyjęto, ogniska stare popiołami użyźnione, już zarasta zieloność nowa, już pokrywa życie młode. Szybko puściły się smukłe białe brzezinki na wyższych miejscach; gdzieniegdzie krzaczysto i karłowato probuje dąb sił swoich, męcząc się by wydobyć do żywota. Sosny podeptane, poobjadane i pokoszlawione, skrzywione i skarłałe wielkich rodziców potomki, rachityczne, biedne, wygrzebały się także na piaskowych wydmach, gdzie bydło mniej chodzi. Ale to już nie owa stara, nie wiekowa puszcza, która tu wprzód rośla!

Przechodząc te zgliszcza i rumowiska, nie spłoszysz zwierza, nie zaszelepie ci ptak nad głową, nie posłyszysz głosu dawnych mieszkańców lasu, którzy daleko gdzieś polecili ślać nowe gniazda; tylko kaczka wędrowna kwaka ciągnąc na wyżary, z żeru wracając tylko czarny bocian leśny zaszumi skrzydły lub czajka swą żalobną wyśpiewa piosenkę. Zarosłe jamy wilcze, rozwalone stare szałas myśliwych, pozieleniałe wały potażowych pieców, zgliszcza uciekłych chałup, spotykasz tylko po drodze.

Gdzieniegdzie kopiec przebitý dębowym kołem, lub strojny zasadzonym dębczakiem, przypomni że i tu są granice; choć licha ziemia naga, nieprędko wartą będzie procesu i zwady.

Taki często obraz wyniszczonych lasów Polesia, chociaż nie wszystkie do tego stopnia zglądzone zostały. Miejscami choć wyrąbano sosny i dęby na belki, pozwolono żyć i podrastać młodzieży, zostawiono gąszcze, które bór robią tajemniczym i ciemnym, stare barcie, które napróżno ale oddawna pszczoł czekają, i brzozy co je tylko dziegiarz po pas z białych oberwał fartuszków. A choć kłody leżą i gniją wszędzie, bo nikt ich na opał, ani na budowę choćby były zdadne nie ruszy, mając sobie zarówno czy zdechłe podjąć zwierzę, czy zwalonego użyć drzewa; choć szramy żółtych trzasek znaczą gęsto miejsca gdzie żydzi ostrogscy wyrabiali belki; przecież tam jeszcze i zwierz i budnik biedny żyć może. Miejscami nawet niedostępne ostrowy błotami otoczone, zostały dotąd prawie nietknięte siekierą; tam bujają jeszcze losie i stada sarn przelatują pierzchliwie, i dzik wylega się w świeżo wyrzytej ziemi na miękkim posłaniu.

Lecz niedaj tam Boże budnika! Wkrótce przetrzebią się ostępy, spadną bez użytku najpiękniejsze drzewa, powypalają się gąszcze i zapusty, bo nie ma dla lasu nic szkodliwszego nad Mazura; nawet pan zrujnowany, co tysiącami beczek smoły sprzedaje, gdzie ich stu wypędzić trudno, nie tak zniszczy jak budnik.

Od rana z siekierą w lesie; dla gałęzi gotów zwałić najpiękniejsze drzewo, na drwa będzie rąbał najcenniejsze sztuki, a dla swoich chudych krów, których na wiosnę nie ma czem pożywić, powali co napadnie, aby się choć młodem wypustkami najadły.

II

W jednej z puszczy poleskich niezupełnie jeszcze wyciętych, daleko od wsi i dworów, a nawet i dróg w kilku kierunkach bory przecinających; na wytrzebionej mokrej łące, którą gnily przepływał ruczajek, brzegi mając sitowiem i lotocią zarosłe; stała chatka budnika trochę na wyżynie, przyparta do ostępu mało co jeszcze przetrzebionego. Budnik wybiera zawsze gdzieby najwięcej zrobić mógł szkody.

Kilka ledwie dojrzanych drożynek ścigały się tutaj z różnych stron; jedne wydeptali ludzie, drugie bydło i kozy: a szersza nieco, głęboko wrytą kołami prostego wozu, zarosła, starą oznaczona była koleją. Dookoła szumiał las, nie wiele jeszcze i ze szczętem nigdzie nie wycięty; stare sosny z barciami na barkach, kilka dębów rozłożystych na pagórku, dołem olchy kępami rosące i gęsta leszczyna, umajały to miejsce. Buda z bierwion sosnowych nieobrobionych, na mech zarzucona w zamki jak chaty poleskie, trochę od nich wyższa lecz bardzo podobna, wznosiła się na podniesionym brzegu łąki w cieniu brzoź i sosen. Dach jej pokrywały w części nieforemne dranice przybite kolkami, w części ponad szopą i obórką, które z nią jedną całość stanowiły, narzucone kupy wiszaru i miętej słomy, przyciśnione kluczynami brzozowemi. W sposobie budowania tej chaty znać było, że się tu ani o trwałość, ani o wdzięk nie starano wcale; krzątano tylko pośpiesznie, nie rachując na długie jutro — aby było. Okna nieco większe od zwykłych po chatach, drzwi zbite z tarczek, wrota do obórki z dranic krzywych nieforemnie sklecone, komin z płotu i gliny, czarny teraz i okopcony, dymnik z wyżłobionego pniaka olchowego; wcale nie zdobyły budy Mazura. Nigdzie pobiałą, którą chłopiec na święta jak białą koszulą zdobi swoje mieszkanie, malując w dodatku przyźbę żółto lub brunatno; nigdzie nic dla oka i serca. Za obórką z płotu, tuż płot drugi z gałęzi, z pniów wykarczowanych, z kłód poobcinanych, narzucony pośpiesznie otaczał ogródek, wśród którego zagonów licho uprawnych, sterczały resztki niedogorzałe czarnych korzeni drzew i krzewów.

Lecz wnijdźmy wewnątrz chaty, którą składały: sionka niechlujna i ciemna, izba z alkierzem i komora po drugiej stronie. W izbie wszystek sprzęt prawie cechowała pośpieszna domowa robota: stoły i ławy chwiały się na cienkich, zaledwie z kory ostruganych nogach, zbite z deszczek łupanych, nierównych i nieogładzonych. Naczynia gospodarskie, które z konieczności szczelniejsze być musiały i pracowiciej wykonane, zdawały się kupne. Piec chlebowy z kominem i przyźbą, z gliny lepiony, wytarty plecami ogrzewających się przy nim, zajmował wielką część pierwszej izby; tuż bondur słomiany omazany gliną, służył do oświetlania lucywą w długie wieczory i ranki zimowe. Ściel nad izbą ułożona była z dylów sosnowych, potrząśnionych wiszarem i oblepionych gliną gdzieniegdzie otworami dobywającą się i na cienkich siana niciach wiszącą. Dym i kopeć uczyniły ją czarną, równie jak ściany. U drzwi jak w chatach stała rażka, ceber, wiadro, czerpak drewniany, łopata, kociuba tajemnicza, miotła do czyszczenia pieca na długim drągu i napleczki do noszenia wody.

Na kapturze komina i w piecu czarne garnki, na półce kilka flaszek i misek dowodziły wielkiego ubóstwa. W głębi mizerne łóżko, zaledwie zbite, narzucone brudną pościelą i staremi szczątkami sukman dziurawych, pokrywało wyglądający bokiem zielony kuty kuferek. Nad niem w ramach czarnych obrazek Najświętszej PANNY Częstochowskiej, Pan JEZUS Boremelski, palma, żółta gromnica z wiankami dosyć już upalona, wisiały przy strzelbie i torbie. Na drugiej stronie, stare szablisko w żelaznej pochwie z rapcami skórzanymi, odosobnione, smutne, spoczywało opylone; dawno zapewne, dawno, bo i ściana pod niem była jaśniejszej barwy!

Zewsząd widna była wielka nędza, wypisując się na wszystkim. Smutno wpadało tu światelko okienkiem od łąki, smutno syczał ogień na kominie, a każdemu usiedzeniu na ławie towarzyszyło dziwne skrzypnienie i suche jakby łamanie się drzewa. Nagie ściany kopeć tylko oczernił, a oprócz opiekunki MATKI Boskiej, starej nieużywanej szabli i strzelby, prócz prawie pustej puleczki wiszącej w kąciuku, oko przebiegając je, nie miało się na czem zatrzymać.

III

W chwili, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, byłato młoda jeszcze ledwie z pod śniegów wychylająca się wiosna, pora najstraszniejsza dla ubogich, bo stykająca się prawie z tym groźnym przednówkiem, który pocieszając nadzieją nowego, starego już nie ma pokarmu. Bydło i ludzie dożywszy do końca zapasów zimowych, oglądają się dokoła, prosząc Boga o zieloność i życie świata, które jest dla nich pokarmem.

Nic smutniejszego przytem nad tę w naszym klimacie często przykrą i długą porę roku, poprzedzającą rozbudzenie ziemi. Drzewa nagie, płachty śniegów czarnych niedotopionych, zlodowaciałych leżące po dolach, kryjące się w cieniach; powietrze wilgotne i zimne; na niebie szare chmury dżdżyste i śnieżne; w stodołach i spiżarniach już pusto lub niewiele zostało.

Bydło budnika przywykłe do pożywania się nawet wśród zimy gałązkami młodeimi drzew, ich korą i odgrzebywanemi z pod śniegu trawami, choć wychudłe, życie swe przecież utrzymać potrafi. Koza zwija się i spina ku smacznym pączkom, które ją dostatecznie nakarmią; ale człowiek! Człowiek już w tej porze czasem mrze głodem, mięszając do chleba co tylko da się wmieścić na oszukanie żołądka i zyskanie czasu.

W chacie budnika późnym wieczorem, u bondura w którym gorzała szczepa smolnej łuczywy, siedziała cała rodzina, prócz jednego jej członka. Stary Bartosz jeszcze był w lesie.

Wdowa Salomea, żona niegdy brata Bartoszewego, zwana panią Pawłową; syn Bartosza Maciej i córka Julia, oglądali się coraz na drzwi, nasłuchując ażali nie wraca ojciec. Ciemny i mokry wieczór szumiał i szalał w puszczy, której głos dla przywykłych uszu głuchem się wydawał milczeniem.

W kominie skwarzyło się coś w garnkach, na które niekiedy dość obojętnem okiem spoglądała Pawłowa. Byłato kobieta lat pięćdziesięciu kilku, rysów twarzy pospolitych, cery właściwej budnikom żółtej i ciemnej, z twarzą pooraną marszczkami, w brudnej, dawniej białej chuście na głowie, odartym kabaciku płóciennym i grubej szarej koszuli. W zgasłych oczach, zbladłych ustach, malowało się przybicie nędzą, spodlenie cierpieniem; bo cierpienie, które podnosi i uszlachetnia, przybija także słabych i upadła!

Widziałas patrzając na nią, że nie wzdrygnęłaby się na nic, byleby z ciężkiego żywota przejść do swobodniejszej doli; uczucia pocziwsze jeżeli kiedy w niej żyły, zagasły przywalone ciężarem codziennych trosk bez nadziei podźwignienia. Z podkurczonemi nogami, ręką pod brodę wciśniętą, rozczochranemi włosy bez barwy i kształtu, siedziała zamysłona głęboko, zadumana, nieporuszony wzrok utkwiony w ścianę trzymając.

Przy niej, na przypiecku także, przędła Julusia córka Bartosza.

Dziwneto było w chacie biednego budnika zjawisko: biała, blada, wysmukła, z czarnym kruczym włosiem, czarnemi oczyma oćmionemi długą rzęsą, pokrytemi brwią kształtną, zdawała się ledwie dopiero z dzieciństwa do młodości przechodzić.

Pod grubą, ale czystą koszulą, poczynały się dopiero zarysowywać niewieście jej kształty. W czarnem oku, w ust zagięciu, mówiła przyszła, a jeszcze nierozwinięta namiętność. Ubogi strój nie był bez starania narzucony, ale ułożony widocznie z myślą, by przystrajał, by zdobił; gładko wyczesane prześliczne i ogromne włosy, zwiżywała małeńka chusteczka czarno-niebieska, której węzeł nie był bez uwagi splątany, końce zdawały się spuszczone z rozmysłem. Na szyi trochę paciorek i krzyżyk żółty, wyglądał z pod wywiniętego kołnierzyka koszuli.

Julusia (tak ją zwano) przędła, ale nie myśląc o kądzieli i wrzecionie, ze wzrokiem błędnym, który zdradzał zadumanie głębokie. Widać było, że myślami i nadziejami poszła kędyś za chatę i za lasy.

Niedaleko od niej na wywróconym cebrze siedział Maciej, prawdziwy budnik, z temi rysy twarzy bez wyrazu, którym nędza odjęła życie, barwę młodości, połysk żywota. Włos konopiaty najeżony na głowie, zwieszał mu się nad oczy siwe, blade, bezmyślne. W rysach nic nie było szlachetnego, żadnego najdalszego nawet podobieństwa do siostry. Na policzku nie postać ślad rumieńca, a ogół twarzy wcześniej zestarzałej, daleko więcej lat okazywał, niż Maciej miał ich w istocie. W tej chwili plótl łapcie milcząc; u nóg jego osmalony, z najeżoną sierścią, ostremi uszami, chudemi wciągnionemi boki, leżał stróż chaty, przyjaciel osobisty Macieja — stary, wierny Burek.

Trzask łuczywa z którego dobywały się kłęby czarnego dymu, uciekające bondurem, przerywał tylko milczenie. Nareszcie pani Pawłowa westchnąwszy i poskrobawszy się w głowę, zawołała ostrym i niemiłym głosem:

— A coto jest, że Bartosza nie ma?

— Hę? — spytał Maciej głupawo, rzucając łapcie.

— Dziwo, że Bartosz nie powraca.

— Co za dziwo! Musieli gdzie zabłądzić, noc taka czarna! Burek nie trafiłby.

— Gdzieby zaś Bartosz mogli zabłądzić!

— Albo czemu?

— Zna on przecie las, gdyby kieszeń swoją.

— Ba! każdy go z nas zna, a każdemu się trafi zabłądzić, jak *złe* zechce wodzić.

— Nie plótlbys Maćku! — przerwała Pawłowa.

Maciej ruszył ramionami, potrząsnął głową, spojrział na siostrę, która obudzona rozmową prząść zaczynała, i wrócił powoli do łapci.

— A mnieby się jeść chciało — rzekł po chwili do pani Pawłowej. — Czy będziecie czekali na tatula?

— Zdaje się, nie ma o co i pytać!

Maciej wstał, wyciągnął się, poszedł do drzwi napić wody, i rzucił się na ławę stękając, a poleżawszy chwilę, odezwał się chrapaniem.

Pawłowa posłyszawszy że spi i upewniwszy się spojrzeniem, obróciła się do Julusi która powoli przędła.

— Zaśpiewajcie bo co — rzekła — nudno! Wichrzysko się zмага, a to taka puszcza głucha. A ten bałwan śpi! Ciarki przechodzą po skórze. Jeszcze pod taką noc o *złem* wspominać!

— Nie ma bo ochoty śpiewać.

— Jakto? w twoim wieku? Mój Boże! Ja, kiedy byłam tak młoda, to mi pani matka, świeć jej Boże, gęby stulić nie mogła.

— Musieliście być w lepszym stanie, to wam i weselej było.

— Toć się rozumie! A bo teżto dawniej daleko inne i lepsze były dla wszystkich czasy! W puszczy roboty huk, aż miło taki rwetes i życie. Stuk, puk, siekiery brzęczą, w piecach trzeszczy, dziegieć kapie a Mazurowie śpiewają. Tu belki złote leżą, tu się klepka w stosy sypie, tam łuczywo w *szury* stawia, tu korę brzozową zwożą, dalej popioły palą, dalej potaż kipi. A trzeba wiedzieć, że nieboszczyk Paweł nie miał sobie równego do potażu, nietylko korytnego, ale nawet kotłowego. Sprowadzali go o dziesięć i dwadzieścia mil. I u niego zawsze popiół lepiej wydawał się jak u drugich. Był dostatek, nie ma co mówić, był grosz, było wszystko czego dusza chciała. A! a! gdyby nie to nieszczęście!

— Nieszczęście?

— Jużciż! że się pobili w karczmie z Krzywonosym i mój dostał w głowę obuchem, co kawęczał dwa lata w łóżku zanim umarł. Oj! ta to przeklęta choróbsko mnie zgubiła. Bo kiedy już Pan Bóg tak chciał, żebym była sierotą, niechby był taki pochorowawszy trochę skończył; ale to i on się nieboraczysko namęczył okrutnie, i my się utracili do ostatniej koszuli, że za co go potem i pochować już nie było. A na starość przyszło cudze kąty wycierać.

— Jakto cudze? — rzekła Julusia — taćmy przecież swoi, pani Pawłowa.

— Swoi! tak! swoi! — pokręciła głową i zamilkła.

Maciej spał, a Burek układłszy się przy nim na ławie, patrząc w okno, uszy nastawił i sierść najeżył.

— Ale bo i wam ciężko! — dodała po chwili Pawłowa wdychając. Ja co to lepszego kosztowałam i pamiętam dawniejsze czasy, nie wiem już jak dalej i wytrzymamy. Co dzień gorzej, co dzień nędza większa, roboty żadnej leśnej nie ma krom tej lichej smoły, co i plunąć nie warto. Chcieliby nas na chłopów przerobić i z wołami do roli zaprzędz, ale z tego nic nie będzie. Podobno rychlej z głodu pomrzemy.

Julusia westchnęła.

— Co życie to życie! Męka, krótko mówiąc. W spizarni pustki jak wymiół, bydelko pozdychało. Jedna chuda krowina i dwie kozy całego dobytku, a kozłeta wilcy podławili. Na chleb mąki do przyszłej niedzieli nie stanie.

— Ojciec pomyśli i postara się.

— A z kądem on się postara? z palca wylamie? Z fuzją chodząc co zabije to zjemy, ze skórki się nie zbogaci, bo i zwierza nie bogato w lesie, roboty nie ma, a panicz...

Na wspomnienie panicza Julusia nieznacznie się zaczerwieniła. Stara Pawłowa niby tego nie widząc, dalej kończyła:

— Panicz nie pomoże? jak myślicie?

— Alboż ja wiem? albo ja wiem — żywo odparła dziewczyna. — Ale zdaje się...

— A co ci się zdaje kochanie?

— Sama nie wiem. Juściż i on i stara pani bardzo dobrzy dla ludzi biednych; to tylko rzędzca i ekonom coby z nich skórę zdarli gdyby można.

— Oj tak, szczerza prawda! Tak serdeńko! Panicz młody, serce dobre, śliczny chłopiec! A ty bo jemu w oczko wpadłaś.

— Kto? ja? — ruszając ramionami i rzucając się żywo do kądzieni zawołała dziewczyna.

— Ja? dajcież pokój.

— No! no! Oczy mam nie dla proporcji. Nie udawaj! Wiem ja wszystko, wiem.

— A co macie wiedzieć?

— Co? ciekawość!! Panicz często z polowania pod naszą chatę zbacza, a jak ciebie zastanie na podwórku, to i zagada i zbliży się i pożartuje. A taki się robi słodki, miły, jakby go kto miodem posmarował. Oj! oj! gdybyś ty miała rozum, gdyby to tak ze mną, wiedziałabym ja co robić.

— Ale dajcież mi pokój! — porwała się Julusia cała w płomieniach. — Ja nawet nie wiem co wy sobie myślicie. Broń Boże by ojciec posłyszał!

— No, no! cicho! cicho! nie ma nic! — szepnęła stara ukośnem mierząc wejrzeniem Julusią najprzód, potem śpiącego Macieja.

Julusia tymczasem poszła ku piecowi zajrzeć do wieczery, na którą gotowały się kartofle i kasza, oboje bez omasty. Kartofle zatrzeć miano trochę sera wydając na stół, a kaszę tylko osolić i grzybem a cebulą podprawić; słonina była tu bajecznym przysmakiem, dawno niewidzianym, a odrobina masła najczęściej się sprzedawała kwaterkami w miasteczku dla kupienia soli i pierwszych potrzeb do życia.

IV

Jeszcze u ognia stała dziewczyna, gdy stuk dał się słyszeć u drzwi. Porwała się Pawłowa i Maciej przebudzony chcąc poświecić do sieni, myśląc że Bartosz powraca, ale zarżenie konia zatrzymało ich oboje. O tej porze w głębi głuchego lasu konny podróżny był wypadkiem tak zadziwiającym, tak nadzwyczajnym, że wszyscy spojrzeli po sobie z przestraszeniem i niemem zapytaniem — coby to być mogło?

— Hej! jest tam kto? Panie Bartłomiej!

— To znajomy! — rzekł Maciej ośmielony — ale djabeł wie i kto i po co?

Pochwylił łuczyno, wychylił się za drzwi nieco i spytał: — A kto tam?

Burek także stanąwszy przedniemi łapami na wysokim progu, zadarłszy głowę do góry, sypał najrozmaitszemi głosami swoje zapytania przybyłemu.

— Nu! kto, swój. A weźcie sobakę.

— Jakiś żyd — szepnęła pani Pawłowa.

Maciej zaparł Burka do kąta za wiadro, na które wierne psisko wydrapawszy się ciągnęło dalej gderanie swoje.

— Nu! kto, swój! — odparł głos z sieni. — A jest pan Bartłomiej?

— Nie ma.

— A Maciej?

— Patrzcie i mnie zna! A toć ja jestem.

— Chodźcieno tu. Jakieś konie koło waszej chaty się pasły. Połapałem je, pomóżcie mi je powiązać, bo się znowu rozbiegną.

— Konie! konie! czyje?

— Albo ja wiem.

— Ale cóżby tu konie cudze o północku robiły? — kiwając głową szepnęła Pawłowa.

— A wyż tu co tak późno?

— Późno, niepóźno. Nu! to się dowiecie po co ja tutaj, a wyjdźcieno i otwórzcie mi oborę.

Maciej ośmielony głosem żyda wyszedł nareszcie zaciekawiony do koni. Żyd Bramko, który się z nimi razem zjawił, dobrze mu był znajomy.

Mieszkał on w pobliskim lichym miasteczku poleskiem, położonym u rzeki spławnej, i z niej całe swe życie ciągnącem. Bindiuha drzewa towarowego, skład materiałów leśnych, smoły i dziegciu z okolicy, mały handel zbożowy, dawały tu zarobek wieśniakom, a niekiedy i budnikom. Na mil kilka wkoło wszystko żyło tą mięściną, począwszy od szlachcica co w niej potrzebne do życia zapasy na kredyt dostawał, aż do wieśniaka który tu sól, skóry wyprawne, czapkę na jarmarku i chustkę dla córki mógł kupić, a furę zboża, siana i drew za lichą cenę sprzedać. Wśród żydostwa, które jak mrowie pod drzewem z upadłych iglic wznosi mrówisko co dzień szersze i większe, Bramko odznaczał się nie bogactwem, ale nadzwyczajną ruchawością. Nie było targu, nie było roboty, nie było kontraktu bez niego. Gdzie nie czynił sam dla siebie, faktorował; gdzie faktorować nie mógł, przeszkadzał; gdzie przeszkodzić w początku nie potrafił, popsuł podstępnie choć później. Chciwy, niezmordowany, zapalczywy do zysku, najdrobniejszej jego okruszyny na ziemię nie upuścił.

Podjeżdżano go nie bez przyczyny o zyski tajemne z handlów zakazanych, a nawet o związki z szajką złodziejów końskich; ale tego nikt zręcznemu izraelicie dowieść nie potrafił. To pewna, że coraz inne i bardzo dobre konie pokazywały się w jego rękach; że często oddalał się nie wiedzieć dokąd, że do niego obdarci żydzi nieznajomi schodzili się nocami; ale prócz podejrzeń, dowodów na niego żadnych nie było.

Bramko był słusznego wzrostu, barczysty, silny, z oznaką zdrowia na twarzy, z pejssem czarnym i wejrzeniem zuchwałem a kołacem. Minę miał hardą, mowę często szyderską, obejście prawie dumne, zwłaszcza z tymi, których za niższych od siebie uważał.

— Nu! otwórzcie oborę! rzekł do Macieja, który wyszedł na podwórze i przypatrywał się z zagapieniem sobie właściwem czterem koniom płaczącym się na postronkach, wiedzionych przez jakiegoś obdartego żydziuka.

— A to na co?

— Konie postawim.

— Jakto postawim?

— Niechajby spoczęły.

— Myślicie tu nocować?

— Zobaczymy.

— Ale bo to u nas nie ma miejsca.

— Jakto? a obora, a stajnia?

— Stajni u nas i nie było nigdy, a w oborze drzewo schnie.

— A wasze bydło?

— Jakie bydło?

— Wasze. Albożto i bydła nie macie?

— Krowa stoi w sieni, a kozy pod przydaszkiem za oborą.

Żydzi poszwargotali z sobą po swojemu.

— Jakżeto będzie — spytał Bramko — to nie znajdziemy gdzie tych koni postawić?

— A cóż! chyba na podwórku.

Żyd mruczał gniewnie i chodził bijąc się po bokach; zbliżył się ku wrotom obórki, zmierzył je okiem i powrócił do Macieja.

— Mam interes do ojca, muszę się tutaj zatrzymać i konie te do jutra postawić; uprzątnijcie mi obórkę.

Maciej się rozśmiał. — Oj! oj! a toby było roboty na dwa dni, tyle tam kłód leży. A jeść-że cobyście dali tym koniom?

— Siano.

— Jakie siano? chyba go macie z sobą?

— A toć u was jest. A cóż je krowa?

— Krowa? Konie tyle rozumu co krowa nie mają. Ona żyje liśćmi i gałązkami, zwyczajnie budniczka.

Tu już Bramko kłąć począł w niebogłoty i szarpać niecierpliwie czapkę i jarmulkę.

— Nu! kiedy tak, zawołał, tem gorzej dla was; bylibyście mieli zarobek, byłbym ojcu nastreczył dobry interes, ale kiedy i koni nie ma gdzie postawić i pokarmić, to ruszę dalej.

— A jakbyście poczekali na ojca? On niebawem nadejdzie i da wam może radę. Tymczasem chodźcie i ogrzejcie się w izbie.

Żyd poszwargotawszy z odartym towarzyszem posunął się do chaty i wszedł nie zdejmując czapki do izby, czarnymi bystremi oczy mierząc panią Pawłową i Julusią, ciekawie mu się też przypatrujące. Milcząc, pogardliwie rzucił się na ławę przeciw pieca, i zakasawszy poły, począł otrząsać z deszczu.

Jeszcze się był nie rozgospodarzył, gdy drzwi za nim skrzyły i stary Bartosz krokiem, po którym go wszyscy zdaleka poznali, przestąpił próg swojej budy.

Byłto podżyły już, siwiejący nieco, wysokiego wzrostu, olbrzymich ramion mężczyzna, ubrany jak zwykle chodzą budnicy. Na nim szara, krótka kapota, pasem czerwonym ujęta, szarawary grube płócienne, łapcie ze skórzanymi sznurami, czapka mała bez daszka, torba borsucza i strzelba na ramieniu. U pasa w czarnej kaletce krzesiwo, przy niem zwieszony wielki nóż i drót do przetykania zapału w fuzji.

Piękne wyłysiałe czoło odsłonięte, ukazało w pełni twarz, nie idealną zapewne, ale pełną głębokiego wyrazu i energii; zdawała się wyciosana z kamienia i ożywiona myślą jakiejś niepokieszonej tęsknoty, niezwykłego smutku. Smutek ten w uśmiechu ust, w spuszczonej powiekach, w zmarszczkach czoła się malował. Rzadka, ciemna, krótko przycięta broda, dobrze odbijała przy nagiej prawie i błyszczącej głowie.

Spojrzał Bartosz na swoich, potem na żyda i mruknął powitanie chrześcijańskie, które się tylko do domu i rodziny stosowało.

— Nu! jak się macie? — rzekł żyd sam zaczynając — dobrze żeście przyszli, czekałem na was.

— A cóż mi tam powiecie? — trochę dumnie odparł Bartosz — ciekawy jestem.

Żyd widać się obraził obojętnością budnika, od którego pokornego i serdecznego spodziewał się przyjęcia, wiedząc jak był ubogi. Stary zdejmował tymczasem z siebie torbę i strzelbę.

— Możebym wam naraił dobry interes, gdybyście mnie poprosili.

— A to wy nie wiecie, rzekł Bartosz, że ja nigdy nikogo o nic nie proszę, oprócz Pana BOGA?

— Nu! aj waj! Jaki wać dumny!

— Ale cóżto tam za dobry interes? Dacie mi robotę przy łuczywie u pana podsędka, czy dziegieć u pana Romualda? he?

— Tfu! to nie ma co gadać; znalazłoby się co lepszego, nie taka robota.

— Schowajże dla siebie! — rzekł mu Bartosz kiwając głową.

Żyd wargi zagryzał, plunął, ruszył ramionami.

— Nie gadajmy o tem.

— Nie gadajmy.

— Nie macie gdzie tych koni postawić, com je tu w lesie koło waszej budy niedaleko połapał?

— Koło budy! w lesie! Żartuj zdrów! kpisz z ludzi! A na cóż je tu masz stawić?

— Juściż przenocować, niechby odpoczęły, nim...

Maciej wplątał się tu w rozmowę, opowiadając ojcu, że już żydowi wytłumaczył, iż koni wcale nie było gdzie postawić. Stary potwierdził słowa syna.

Potem zbliżywszy się do żyda i uśmiechając z politowaniem i szyderstwem razem, rzekł do Bramka: — Czemu nie prowadzisz swojego towaru jak zawsze do Jakóba?

Na te słowa żyd poczerwieniał, pobladł, zerwał się z ławy i mrugnął na starca niespokojny. Ten uśmiechnął się tylko pogardliwie.

— Życzę wam właśnie poprowadzić do Jakóba; miejsca hukim: bo dziś i Jakóba samego i konie jego zabrali w nocy do miasteczka przysłani dziesiątnicy.

— To nie może być! — zawarczał żyd rwąc brodę.

— Dowiecie się! — odpowiedział obojętnie Bartosz.

Bramko obejrzał się wkoło i żywo podstąpił do starca, poczynając go pocichu prosić, kusić, nalegać nań; dobył nawet skórzanego worka, ale stary Mazur odepchnął go z zimną krwią i głośno tylko odpowiedział:

— Daj mi pokój!

— To wasze ostatnie słowo?

— U mnie nie ma pierwszego i ostatniego, tylko jedno słowo.

— Nu! dobrze! dobrze! — wściekle odezwał się żyd — pożałujecie! To mówiąc, rzucił się do drzwi i zniknął. Bartosz spojrzął za nim z uśmiechem, ale Bramko już nie zawrócił nawet. Nie słysząc tententu koni, myślał że zwyczajem Izraelitów zawróci się jeszcze, usiadł spokojnie na ławie i mokre obuwie zdejmować począł, gdy tymczasem Pawłowa przygotowywała wieczerzę. Żyd już się nie ukazał. Wkrótce Maciej wracający z podwórza z nieodstępny Burkiem, doniósł, że konie zostały przywiązane do płotu, a żydzi znikli.

Stary podumał chwilę i nic nie odpowiedział, czoło mu się tylko zmarszczyło.

Wieczór krótki przeszedł w posępnym milczeniu. Bartosz z polowania i zwykłej przechadzki nic nie przyniósł, prócz jednego cietrzewia na jutrzejszy obiad. Mąki na chleb co chwila mogło zabraknąć, a Pawłowa nie śmiała na dno bodni, w której zsypana była, zaglądać.

Widziała stara ofiarowane przez żyda pieniądze, domyślała się bardzo o co mu chodziło i w duszy niecierpliwiła się na starego Bartosza; ale słowa wybąknąć nie śmiała, bo budnik niczyjej rady nie przyjmował.

V

Nazajutr rano był zimny, ale niebo wyjaśnione, ptastwo zbudzone słońcem świergotało w lasach, skowronek nad czarną jeszcze i obmokłą unosił się rolę. Stary Bartosz wyszedłszy przed świtem, zobaczył przywiązane jeszcze konie u drzwi chaty, które żydzi porzucili tu. Biedne szkapy pokładły się na gołej ziemi, skubały słomę rozsypaną i drzemały spędzone. Stary ujrawszy je wzruszył ramionami i zawołał syna.

— Weź te konie, rzekł, i ruszaj z nimi do miasteczka, oddasz je pomocnikowi na ręce; powiesz, że Bramko był w nocy i zostawił tutaj.

Maciej spojrzął ojcowi w oczy, poskrobał się w głowę i nic nie odpowiedział; widać jednak było, że wątpił o swojej umiejętności znalezienia się wobec strasznego pomocnika, którego znano w okolicy z opilstwa i złości.

— Albo nie! nie! — mruknął Bartosz sam do siebie — pojedę sam z nimi lepiej.

— I pewnie! i pewnie! — spiesznie dodał Maciej — bo ja taki pewniusińkoby tam języka w gębie zapomniał.

— A ty, przerwał ojciec, ruszaj w las ze strzelbą i do dworu za chlebem co się nam tam należy. Kwitek znajdziesz zatknięty za obrazkiem.

— Do dworu, to choć z biedą, ale rady sobie damy — rzekł Maciej. — Ale i tam jak mnie poczną odsyłać od kąta do kąta, od jednego do drugiego!

— Juściż czas, żebyś sobie rady dawać nauczył — ofuknął groźnie stary Bartosz. — Wkrótce i mnie nie stanie, przyjdzie ci samemu i siostrą się opiekować i o chacie myśleć. — Maciej zamilkł; weszli do chaty nazad, gdzie już pani Pawłowa pochwycała się z tapczana na którym spała, rozkładała ogień i przygrzewała trochę koziego mleka na ranny służyć mającego posiłek.

Słońce już się podnosiło ponad lasy i przeświecało jaskrawo przez nagie jego gałęzie, gdy Maciej ubrawszy się w szarą świtę, borsuczą torbę, nowe chodaki i przewiesiwszy strzelbę, ruszył pieszo ku dworowi. Stary tymczasem podesławszy zgrzebny wór na konia, skoczył i poprowadził żydowskie szkapy do miasteczka. Machinalnie odmawiając ranne pacierze, Pawłowa krzątała się leniwo po izbie, Julusia cesała długi swój warkocz czarny przed rozbitym lusterkiem.

Obie milczały spozierając na siebie z ukosa. Julusia nie śmiała zaczepić starej, stara nie wiedziała jak zacząć rozmowę, której pragnęła. Nareszcie, gdy obie siadły pod piecem gryząc chleb czarny i suchy, zmoczony w troszce mleka, stara instynktowo obejrawszy się po kątach i nie widząc nikogo, prócz chudego burego kota, poczęła:

— Ot! taki co bieda to bieda! A westchnawszy — I będzie coraz gorzej a gorzej.

Julusia patrzyła milcząc.

— Stary Bartosz całe życie goły był i umrze bez koszuli na grzbiecie; bo coby miał ze szczęścia korzystać, to mu hardość, a jakieś tam szkrupuły tryndają po głowie. Ot, albo i wczoraj! Żyd chciał tylko jaki dzień, dwa, konie przechować. Co jemu do tego jakiego konie. Nie! taki potrzeba koniecznie odepchnąć grosz, kiedy grosz do kieszeni się sunie. Wy bo wszyscy poginiecie przez wasze głupstwo.

— Dajcież pokój! Ojciec lepiej wie, czemu się z tym żydem zadawać nie chce.

— Bo tchórz a uparty! Panie Boże odpuść, ale mi taki prawda cięży i muszę ją wyspiewać; bo co prawda to prawda. Nie takie to teraz czasy, żeby poczcivością żyć można. To i chłop głupi, a powiada: „Nie wziawszy na duszu, nie bude w duszy.”

— Ej pani Pawłowa!

— Co tam! powiem taki prawdę całą! Ojciec stary ma we łbie ćwieka, o Macieju to już i gadać nie ma co, prosto głupi. Ot ty, żebyś miała więcej od nich rozumu, tobyś wszystkich poratowała.

— Ja! ja! a toż jak?

— Niby ty nie wiesz! Porzuć! porzuć! Coto nie rozumiesz, że tybyś wszystko mogła u panicza.

— Co bo mówicie! wam się śni.

— A taki co prawda to prawda!

— Ale bo to nieprawda.

— Jakto nie? Już ja tego z palca nie wyssałam. Kiedy mnie za język ciągniesz, no to ci powiem wszystko jak było.

— Cóż było? co? — I dziewczyna zarumieniła się, pokraśniała a oglądać poczęła z przestraczem.

— Wiesz, że w przeszłą niedzielę byłam we dworze.

— A tak, byliście! — odpowiedziała Julusia głosem drżącym.

— Ho! nie przerywajże a słuchaj. We dworze jak zwyczajnie u panów: szumno, wesoło, aż serce rośnie, a ludno jak w mieście. Ja, com-to dawniej dworsko służywała, przypomniawszy sobie młode latka, małom nie płakała z zazdrości. Nu! mniejsza o to. Gwar, śmiech, dostatek. Na folwarku u klucznicy kielbasy smażą dla gości; u ekonoma w karty grają, miód piją; w czeladnej izbie śmiechy i krzątania koło tłustych misek, z których słonina po ziemi kapie. Co już mówić o pałacu! Zaszłam najprzód do klucznicy z tą moją raną na nodze, prosząc maści. Klucznica bo stara moja znajoma, ale odprawiła po lekarstwo do samej jejmości, która taki kurować i ratować lubi. Wszakże starą jejmość znacie?

— Widziałamci ją w kościele zdaleka.

— Święta osoba! dalipan święta! Powiadam wam, prosto ją Pan Bóg do nieba weźmie. Dla ludzi anioł, a pobożna, a dobroczynna, toć ją i przewali w sąsiedztwie słyszę *Dobroć-sama*, i dalibóg prawda. Cały pałac ustąpiła synowi, którego kocha zwyczajnie jak jedynaka; cały majątek swój oddała mu, sama mieszka w ogrodowej oficynie i kontentuje się pensją. A zabawia się nieboraczka leczeniem, wychowywaniem dziewcząt i nabożeństwem. Święta pani! Idę ja tedy do niej. Przyjmuje mnie jak zwyczajnie cukrowemi słówkami: kochaneczko, serce moje. Kazała zaraz nogę pokazać, opatrzyła sama, dała maści, nakarmiła, napoiła, a potem nuż pytać mnie: co ja za jedna? zkąd? jak?

— Pytała was?

— A jakże! Opowiedziałam jej wszystko, naszą biedę, niedostatek, i licząc wiele nas jest, jako wspomniało się i o tobie. Aż jejmość pocznie mnie pytać: a wiele to jej lat? a umie ona co? A potem: możeby na służbę do dworu przystała?

— Nie może być? — porywając się z ławy zawołała Julusia.

— Jak Boga mego kocham! prawda.

— I cóż?

— A cóż ma być! mówiłam ja zaraz o tem staremu Bartoszowi, ale ten mnie ofuknął. — Ja swego dziecka na dworską służbę nie dam, wiem ja co to jest.

— O! pewnie że się na to nigdy nie zgodzi! — z żalem trochę wyjąknęła Julusia.

— Trudno, trudno! bo taki mi i powiedział zaraz: Alboto nie wiecie jak dziewczęta u dworu wychodzą? lepiej z głodu umierać niż ze wstydu. — At dziwak stary. Napróżno mu mówiłam, że wiele było dziewcząt u jejmości, wszystkie za pisarzy, za gumienych, za leśniczych, za ekonomów i z posagami powydawali. Co jemu! On swoje a swoje!

Julusia zamyśliła się głęboko i opuściła głowę; Pawłowa szare swe ale błyszczące w tej chwili oko skierowała na nią, i uśmiech szatański przekrzywił jej usta na chwilę. Westchnęła potem i poszła niby obojętna już do ogniska nakładać trzaski mokre na przygasłe węgle.

VI

My tymczasem dopowiedzmy, czego stara nie chciała i nie mogła wypowiedzieć przed Julusią.

Dwór pański w Sumaczej (tak się zwała wieś i folwark, w którym młody dziedzic mieszkał), głośny był w istocie w okolicy wesołym życiem, które w nim wiódł świeżo ze szkół wypuszczony chłopiec. Matka jego, pani podkomorzyna, podżyła już wdowa, którą w okolicy zwano *Dobroć-sama*, ukochana od wszystkich, uwielbiana od biednych, święta w sercu niewiasta, była jedną z tych słabych istot, które dziwnym zbiegiem okoliczności, najlepszymi chęciami najgorszych dorabiają się skutków. Podkomorzyna była dobrą w istocie, do zbytku dobrą; ale dobroć ta i jej samej i otaczającym szkodliwą była i najnieszcześniejsze wiodła za sobą następstwa. Łatwowierna bo pocziwa, stała się łupem oszukańców którzy ją otaczali. Syn wychowany w pieśczołach, któremu w niczem sprzeciwić się nie śmiała, popsuty pobażaniem, stał się marnotrawcą i rozpustnikiem, posuwając się szybko po drodze, która go wiodła do ostatecznej zguby. Matka jednak w postępowaniu jego nic nie widziała, nic widzieć nie chciała zdrożnego; jedno złe pożyczając małym, przypisywała wiekowi, drugie ludziom nie jemu, w inne nie wierzyła, reszty domyślać się nie mogła.

Dwór otaczający ją robił co sam chciał, ludzie naśmiewali się pokątnie z niedołężnej a pocziwej staruszki; i Sumacza stała się jaskinią łotrowską, w której owa święta niewiasta, nie wierząc w grzech i zepsucie, żyła w zupełnej niewiedomości szkarad jakie ją otaczały. Dziwnym fenomenem, najgorsi z dworaków umieli zawsze pozorami pobożności, łagodności przybranej i umiejętnem odegrywaniem komedji wkraść się w łaski pani podkomorzynnej. Ci raz uzyskawszy jej łaski, kierowali biedną jak się im podobało, używając jak narzędzia często do największych niesprawiedliwości. Trochę słaba dla pochlebców, w ich miodowych słówkach widziała czułość, serdeczne przywiązanie i szczerść. Nic nie mogło wyprowadzić jej z błędu. Najgrubsze udawanie niezgrabne, na którym poznawali się wszyscy, ona brała za szczerą prawdę.

Syn ukochany uchodząc za najpocziwszego chłopca, sposobił się na największego łotra. Słudzy bezwstydnie kradli staruszkę, dwór pobożnej pani był serajem młodego pannieczki i mnogich jego przyjaciół; o trzy kroki od jej oficyn sceny najrozpasarszej rozpusty odbywały się bezkarnie. Staruszka zatopiona w modlitwie, nic a nic nie widziała. A gdy ją dochodziły krzyki, śmiechy, szaleni, mówiła sobie kończąc koronkę: „Byleby uczciwie, niech się bawi! To się wyszumi. Zwyczajnie młodość. Byleby to zdrowiu Jaśka mego nie zaszkodziło!”

I posyłała w wielkich razach na zwiady faworytę swą zaufaną, pannę Teklę, która że była też dobrą przyjaciółką pana Jana oddawna, zawsze wracała z doniesieniem, że zabawa choć głośna ale niewinna, i pan Jan zdrow dzięki Bogu!

Tak lata upływały w Sumaczej, a Jaś szybko tracił piękną ojcowską i macierzystą fortunę, na którą jak krucy zlecieli się owi przyjaciele, co to ich wszędzie pełno, gdzie tylko półmiski dymią i butelki strzelają.

Dobroć-sama czasem robiła uwagi Jasiowi, ale łagodnie, głaszcząc go pod brodę i z uśmiechem macierzyńskim, potem zaraz odzywała się do panny Tekli: Zwyczajnie młody, ale najpocziwszy chłopiec. Co za serce! jaki charakter!

Najpocziwszy ten chłopiec grał, pił, hulał i udając tylko jeszcze czasem przed matką resztę jakiegoś niedogasłego wstydu, dla świata wcale się z uczynkami swemi nie tail. *Dobroć-sama* zawsze go umiała wytłumaczyć. — Karty, mówiła do panny Tekli, to prawda że to nieszczęście prawdziwe, ale on ich nie lubi; cóż kiedy dla towarzystwa na świecie koniecznie potrzeba grać. Nieboszyk podkomorzy także ich nie lubił, a jednak raz, pamiętam, tysiąc czerwonych złotych za wieczór przegrał. Jaśko nigdy tyle nie stracił.

Staruszka nie wiedziała, że Jaś miał już kilkadziesiąt tysięcy długu zaciągniętego na karty.

— Że tam czasem sobie pozwolą i nad miarę wina, mój Boże! jużto u nas narodowa wada staropolska. A nawet dawniej daleko, daleko straszniej pili. I zdaje mi się, moja Tekluniu, że więcej nikt nic nie zarzuci mojemu drogiemu. A! śmiejesz się? wiem co myślisz. Nieprawda, nieprawda! Może tak, żartem coś, kiedyś, ale zaręczam za niego, że to skromne i niedoświadczone jakby tylko co z pieluch.

Potrzeba było wytrwałości panny Tekli, aby nie pęknąć ze śmiechu, ale ona spuszczała oczy i potakiwała.

Najzwawiej strofowała podkomorzyna ulubienca swego za opuszczanie nabożeństwa i obowiązków religijnych; ale chłopak był dość sprytny i umiał się zawsze wytłumaczyć, składając winę niedbalstwa swego to na ludzi, to na okoliczności, to jej się zapierając. Ile razy był na polowaniu w niedzielę, panna Tekla świadczyła że go widziała w parafialnym kościółku, a podkomorzyna, zmuszona dla zdrowia modlić się tylko w kaplicy, wierzyła.

Pani Pawłowa opowiadając o swojej bytności we dworze, wiele rzeczy zamilczała, panicz bowiem, który oddawna na Julusie czyhał i myślał nieraz jakby ją wciągnąć do dworu, był przytomny rozmowie starej budniczki z panią podkomorzną, a udając serdeczne politowanie nad biednym stanem tych ludzi, sam matkę nakłaniał, aby Julusie wzięła do siebie i nią się opiekowała.

Matka pocałowała go za to w głowę. — Co to za anielskie serce! — zawołała ze łzami prawie — jakie to pocziwe to moje Jasisko!

A pocziwe Jasisko myślał tylko jak nową ofiarę ściągnąć dla siebie, jak sobie wesołe i tak życie nową gałązką leśną umaić! Zaraz w ślad za Pawłową wyszedł od matki i wtknąwszy jej kilka złotych w rękę, za które go w kolano pocałowała, począł ją na swój rachunek rozpytywać. Stara dała mu z wielkim pośpiechem do zrozumienia, że gotowa wszelkimi siłami pomagać, za co przyrzekł jej nagrodę sowy, a naprzód polecił staranie, żeby Julusia do dworu sprowadzoną być mogła.

Z Pawłową i Julusią może poszłoby jak z płatka, Maciej całe życie mógłby nie wiedzieć o tem, czegoby mu z dziesięć razy raz po raz nie powtórzono: ale stary, dumny i uczciwy Bartosz stał im wszystkim na zawadzie.

Tego groźba, prośba, datek, podejście sprowadzić z drogi nie mogły. Znali go ludzie z tej strony. Nieulękniony niczem, niezmiękczonej żadną modlitwą, jeśli ta do przekonania mu nie mówiła, gardzący darem na któryby nie zapracował lub wypłacić się nie mógł, przebiegły ze zdrady domacał się rychło, Bartosz dla bliższych i dalszych nietylko zdawał się niepokonanym, ale strasznym. Szanowali go też ci nawet, co z drugimi jemu równymi z góry się obchodzili.

Ale Pawłowa napróżno ten charakter nieugięty w nędzy i spodleniu usiłowała wytłumaczyć Jasiowi i przedstawić go czem był. Pan Jan nie pojmował nic podobnego w budniku, i znudzony wreszcie, że go jakimś budnikiem jak wróble straszylem płoszą, rzekł, posadzając o znowę i rachunek starą: — No, to mu zapłacę co zechce. — Z tem odszedł.

A tego nie wie, pomyślała licząc złotówki Pawłowa, że gdyby mu dał cały swój dwór i majątek, toby mu Bartosz za podziękowanie w oczy plunął. Takito stary głupi!

Bardzo się chciało wdowie zyskać obiecaną jej za pośrednictwo ohydne nagrodę; głowę jednak łamała, jakby tego dokazać, nie mogąc ani się domyśleć, jak wkrótce okoliczności jej i Janowi w pomoc skutecznie przyjść miały.

VII

Zrana więc jedną ze ścieżek leśnych posunął się ze strzelbą na ramieniu Maciej, za którym dążył w tropy Burek głodny, z podkulonym ogonem i jeszcze bardziej wpadłymi boki, ale uszyna najeżonemi i głową do góry. Drugą drożyną puścił się ku miasteczku, rezydencji urzędowej pana Pomocnika, stary Bartosz, wiodący konie żydowskie.

Pomimo nędznej jego odzieży i zmęczonych rysów twarzy, zastanawiająca to jeszcze była postać. Nie pochylony wiekiem, niezwalczony nędzą, nieupokorzony swym stanem, zdawał się raczej przebrany w sierak dawnych lat wojakiem, nie ubogim puszczy poleskiej mieszkańcem. Mężtwo i siła malowały się na obliczu pogodnem, którego czoło tylko przeciął na dwoje fałd poprzeczny, świadczący o długich myślach i głębokich cierpieniach. Fałd ten prawie zawsze ciemniejszy na czole jak cięcie szabli malował się wśród lysej, połyskującej głowy; ale szabłą tą nieludzka władała ręka — prawica losu nią raniła...

Ułamaną po drodze w pączkach i kwiecie leszczyny gałęzią, popędzane konie dość zwawe i młode, biegly ściskając się i wyprzedzając, często zwiężając bardzo drożyną. On zadumany patrzył nie widząc przed siebie, czasem tylko pogładził węża i westchnął ponuro, jakby w przestankach ugniatającej go myśli.

Dobrze znając wszystkie drożyny leśne, machinalnie kierował się wśród nich, choć mnóstwo porosłych darnią, wykręcały się wśród zarośli: to szersze, to węższe, to prawie nieznaczne, tak zawieszone młodemi przeszłorocznymi wypustkami bujno rosnących krzewów. Przebywszy gąszcze otaczające chatę, łąkę co je dzieliła od przerzedzonego już lasu i większej drogi, potem świeże trzebieże, borem małym zbliżał się już ku miasteczku, ukazującemu się w oddaleniu za długą grzązką i topielistą groblą.

Wtem drogą ku niemu ujrzał pędzącą bryczkę ostawioną słomą, u której dyszła ogromny kołatał dzwonek, znak niechybny jadącego urzędnika. Za bryczką tą konno leciało dwóch ludzi, poprawując w biegu to czapek spadających, to rozwianych pól sukmany.

— Stój! stój! — rozległ się nagle krzyk, i przed Bartosza skoczył mały, czerwony jak rydz, trądem jak muchomor okryty, z oczkami drobnymi jak dwie atramentu krople, łysy jak arbuz, ospowaty jak czerstwy chleba kawałek, pan Pomocnik, racząc swą własną ręką chwycić za cugle konia, na którym siedział budnik.

— Trzymaj! łapaj! — dodał zapalając się i przywołując ludzi, widząc że koń złęknioty do rowu się szarpnął. Konni natychmiast zastąpili Bartoszowi drogę. Stary nie mógł pojąć coto się z nim działo.

— Czego łapaj? albo uciekam? — odezwał się spokojnie, — czego chcecie?

— A! udajesz ty mnie tu niewinnego! Nie *nadmiesz* (wyrażenie właściwe) nie! postoj! Ja cię nauczę złodzieju jakiś, rakalio! Ja cię nauczę! — wrzeszczał pijany Pomocnik w paroksyzmicznym gniewu.

Stary Bartosz zarumienił się, a raczej oblał krwią, tak, że białka oczu w jednej chwili nią zaszyły.

— Słuchaj pan — zawołał — czy pan wiesz co gadasz? za co mnie łajesz?

— Za co? ja ci pokażę pytać o przyczynę! Ciekawy? patrzajcie! Wiązać mi zaraz tego złodzieja.

— Mnie! mnie! — I stary gwałtownie rzucił się na worku na którym siedział — Mnie?

— Nu! tak, ciebie złodzieju! Tak, nie rozprawiaj mi! Wiązać go!

— Ależ powiedz mi pan i wytłumacz co to ma znaczyć?

— Ja nie na to tu jestem aby ci tołkować trutniu! Wytłumaczę ci inaczej w *stanowej kwaterze*. Hej wiązać go!

— Czegoż pan chcesz odemnie? — w rozpaczy wykrzyknął budnik. Panu się w oczach dwoi czy co? Pan nie wiesz co robisz!

— Ach ty psie jeden będziesz mi jeszcze takie rzeczy gadał, ty! I tupiąc nogami, machając rękoma jak do uderzenia, począł wrzeszczeć z całej siły pan Pomocnik:

— Śmiesz mnie, mnie śmiesz mówić! Ty wiesz, ja cię w kajdany okuję!

Stary zamilkł, bo przeczuwał, że w tem wszystkim jest jakaś omyłka. Wzywając wszystkich sił swoich na pohamowanie oburzenia i gniewu, którym wrzał, spytał spokojniej:

— Słowo tylko: za co mnie więzicie? co to znaczy?

— Co to znaczy? Ja ci powiem hultaju! Oto ukradłeś konie i kradzione przeprowadzasz.

— Ja ukradł! — zrywając się ze szkapy i podskakując ku Pomocnikowi zaryczał nie mogąc się pohamować stary Bartosz. Ja? od kiedyżto Bartosz Młyński złodziejem się zrobił?

Pomocnik wskoczył w bryczkę jak do twierdzy jednym susem i tu czując się bezpieczniejszym krzyknął:

— Wiązać.

— Tak! — kończył zbliżając się stary ze wzrastającą coraz zapalczywością — tak! konie są kradzione ale nie przezemnie.

— Wiązać! — powtarzał Pomocnik.

— Żyd je wczoraj przyprowadził i postawił u mnie, żyd Bramko, mam na to świadków.

— Tak! tak! wytłumaczysz się. Ja was znam i wasze świadki cygańskie. Wiązać!

— Prowadziłem te konie, żeby je wam oddać.

— Teraz ci to do głowy przyszło! Widzę, masz ty mnie za gołowasa, hultaju jakiś! Nu! śledztwo okaże. Wiązać go i prowadzić do miasteczka.

Co się działo ze starcem, na którym przez długie lata nigdy obelżywy wyraz, wzdarliwe nawet spojrzenie nie spoczęło, bo do nich umiał nie dać powodów, i nie dopuścił nikomu nad sobą się znęcać, tego opisać nie można. Gniew, wściekłość, rozpacz, boleść niewysłowiona miotały nim naprzemiany; lzy nawet wytrysnęły mu z pod zakrwawionych powiek, a usta próżno już wysilając się na słowo, którego znaleźć nie mogły, zamknęły się nareszcie, zdrętwiały; wzrok zatoczył obłąkany, zachwiały nogi i gdyby nie ludzie co go już pochwycili i wiązać zaczęli, byłby upadł.

Pomocnik kazał zawrócić bryczkę i prowadzić za sobą Bartosza i konie.

VIII

Tymczasem Maciej szedł sobie powolnie gapiąc się po drzewach, poświstując nieforemne piosnki, ziewając szeroko ze znakiem krzyża, szybko szatanowi drogę do żołądka tamującym. Ziewał najwięcej i żegnał tyleż razy, miał bowiem zwyczaj zawsze być niewyspanym, choćby siedem dni i nocy spał z rzędu.

Pawłowa szczególnych wiadomości przyczyn i skutków pełna, przypisywała to usposobienie Macieja temu, że się urodził w nocy, a żaden kur nie zapiał gdy na świat przychodził. Przyczyna dość była wyrozumowana, jak na panią Pawłowę.

Szedł tedy Maciej to zawadzając o korzenie sosen, których nigdy nie widział pod nogami, to łapiąc się po niewczasie za twarz, gdy mu ją już gałąź przecięła, to zmiierzając z fuzji do suchego pnia tak sobie, dla podochocenia i fantazji. Czasem huknął na całe gardło, żeby innych hukających dalej pobałamucić, to pięścią zdusił wylażący biały grzyb z ziemi, to zaszczekał psim głosem, to zawył, a wszystko dla niewinnej zabawki. Wcale mu nie było pilno; wiedział, że w Sumaczej go nakarmią i napoją, że czy co zabije czy nie, ojciec mu słowa nie powie, że do domu wróci wczas zawsze na chudą i krótką wieczerną pani Pawłowej, z którą już i kłócić się o swój żołądek od niejakiego czasu zaprzestał. Pocieszał się myślą, że jak da Pan Bóg grzyby, rydze, syroiżki i maślaki, zje licha czarownica, żebym jej jednego przyniosł, wszystkie sam sobie zjem. A będę chorował, to będę chorował, a taki żadnego nie przyniosę.

Maciej tę tylko cnotę wziął po ojcu, że był kozim sposobem uparty.

Ktoby zdaleka patrzył na Macieja, wziąłby go za pijanego lub ślepego; tak szedł zataczając się, błakając i na pozór nieprzytomny. Wszakże odgłos tokujących cietrzewi obudził go z tego rannego oczmocenia; stanął, posłuchał, czapki poprawił, ze strzelby kłak wyrzucił, podsypał na panewce i przeżegnawszy się, sunął borem bez ścieżki.

Burek doskonale widząc jakie są jego obowiązki w takim razie, pozostał w tyle i włókl się noga za nogą.

Tokowisko dobrze znane było, otaczały je stare sosny i młoda choina, dozwalająca przybliżyć się nieznacznie; podsunął się w to miejsce Maciej, potem prawie pełzając przypadł pod nawieszoną gałęzią wysokiej barci. Burek położył mu się w nogach. Cietrzewie tylko co toki rozpoczynały ale związały się jeszcze dalej niż na strzał od Macieja; przyległszy więc na mokrej trawie, wytrzeszczywszy oczy, oczekiwał, palec na cynglu trzymając.

Dobra ćwierć godziny upłynęła, nim strzał nareszcie dał się słyszeć i wielki stary cietrzew zwalił się na ziemię, trzepocąc skrzydłami. Więcej nie żądał Maciej; wstał, poszedł go zabrać, wpakował do ogromnej torby, w milczeniu strzelbę oczyścił, nabił, na plecy zarzucił i poszedł dalej równie powolnie, równie rozespany jak wprzód, ku dworowi. Cietrzewie tymczasem tokowały dalej.

Pijany, zamyślony czy drzemiący Maciej szedł dalej a dalej; przecież trafił bez ścieżki wprost do małej karczemki stojącej nad drogą która już nieopodal była od dworu podkomorzyca. Tu najczęściej służba pańska hulanki sobie na wzór pańskich urzędzała, pijąc, grając i szalejąc całe noce.

Rudo-brody żyd stał w ganku swojej gospody w pluderkach tylko i pantoflach, używając świeżego powietrza, bo widocznie tylko co był podniósł się z betów. Pierze miał jeszcze konstellujące włosy, oczy nawpół przymknięte i ziewał co chwila a skrobał się i bokami poruszał, wyciągając to jedną rękę, to drugą, to obie razem, aż w stawach trzeszczało.

Wieśniak czy budnik, mieszczanin czy szlachcic zagrodowy, nigdy karczemki minąć nie mogą; byłoby to przeciwko odwiecznym zwyczajom. Gwałtowne przytem potrzeby zmuszają odwiedzić każdą. Jeśli gorąco, trzeba się ochłodzić wodą, jeśli zimno, ogrzać

u komina, jeśli wietrzno, wytchnąć pod dachem, jeśli błotnisto, osuszyć, jeśli głodno podjeść, jeśli czczo wódką pokrzepić, lub fajkę zapalić, lub drogi dowiedzieć; słowem, że zawsze dla czegoś wstąpić nieuchronnie do karczmy potrzeba. W najpilniejszym razie nigdy wieśniak, budnik, szlachcic i mieszczanin, zwłaszcza piesi, nie miną żyda, choćby tylko nogą na próg i zaraz nazad a dalej w drogę. Jestto jakby obowiązkiem podróżnych, pokłonić się tej pokusie naddrożnej. Jezdny czasem minie jedną, gdy gęsto stoją; pieszy żadnej. Żyd któryby zobaczył podróżnego przechodzącego obojętnie koło karczmy, miałby go w podejrzeniu i nie bez przyczyny.

Domyślicie się, że Maciej ściśle zachowujący zwyczaje starodawne, nie mógł Jankiela osobiście mu znanego ominąć. Jakoż brał za klamkę, gdy gospodarz wyciągający się jeszcze, zobaczył go dopiero i przywitał: — Hę? Maciej, hę a! dzień dobry!

— A! dobry dzień asanu.

— Zkąd?

— Juścić z domu.

— Może zwierzyna jest? Słyszałem ktoś strzelił niedawno.

— Jaka tam zwierzyna — cietrzewisko i to dla siebie.

— A przedać?

— Nie mogę, dla tatula — rzekł lakonicznie Maciej. — Dajcie kieliszek.

— Za wiele?

— Za dwa.

— A macie pieniądze?

— To ja oddam.

— Nie mogę — rzekł równie sucho i krótko żyd.

— A cóż będzie?

Żyd ramionami ruszył.

— Chodźmyno do izby, rozmówim się.

Jankiel dał się nakłonić i weszli.

Po chwilce Maciej wyszedł sam, bez cietrzewia nawet, ale widocznie weselszy, rumiany, czapka zwieszona na bakier, jedna ręka w bok. Gwizdał niesłychanym sposobem fałszywie i przeraźliwie, a corazto podbiegłszy ku nieszczęśliwemu Burkowi, kopnął go nogą dla facecji. Burek, którego nie pierwszy widać raz ten dobry humor prześladował, podtuliwszy ogona, umykał przodem co miał siły, nie śmiejąc się i obejrząc.

Maciej całkiem szedł inaczej teraz: prosto, żwawo, usta mu się uśmiechały, oczy wesoło grały, i tylko kiedy niekiedy potykał się na leżących po drodze faszynach, podskakując potem kilka razy do góry i klaskając palcami. Śpiewał przytem za każdą razą piosenkę, której jedyne wyrazy powtarzały się w różnych modulacjach: Hop — sztyk! Fry — dryk! hop — sztyk! i t. d.

Kiedy się już dwór ukazał bliżej, Maciej poprawił torby, obciągnął siermiężki, palcami włosy bezładnie najeżone przegarnął i starał się poważną minę ułożyć, ale to mu się nie udało. Korciło go niesłychanie Burka kopnąć nogą, czego dowodząc zaczął śmiać się do rozpuku. Potem jakby przypomniał sobie, że śmieje się nie wiedzieć z czego, nagle tupął nogą, stawał, dawał sobie kuksańca w bok, czapkę na oczy napuszczał i szedł póki się nie potknął.

Potknąwszy się, *iterum* wyskakiwał do góry, śpiewał: Hop — sztyk! dopędzał psa z poczęstowaniem zwykłym i śmiał się. Po śmiechu następował znów kuksaniec w bok. Nie wiem wiele ich sobie dał, i wieleby ich był mógł dać, bo nie znając rachunku prawdopodobieństwa, nie śmiem zapuszczać się w niebezpieczne obliczanie; ale to wiem, że szczęściem dla boków Macieja, mnóstwo przedmiotów odrywały go co chwila od wybryków wesołości.

Tam zagapił się na skowronka, który kołował w powietrzu, i patrzył, patrzył, patrzył póki mu z oczów nie zniknął; dalej zajęły go dwie zielone muchy, które śledził aż się gdzieś skryły w rowie; to liczyć zaczynał stado dzikich gołębi unoszące się na roli, myśląc się i poprawiając bez końca i t. p. Pracowity umysł jego szukał we wszystkim zajęcia; w ostatku na grobelce począł w kałuży czystej dosyć robić sobie miny najdziwniejsze i zabierał się do długiej *autoskopii*, gdy przerwały mu zajmujące to badanie nadciągające z hałasem furmanki. Przy nich konno jechał gumieny, niemal tak cięty jak Maciej, ale

w dodatku kurzący sobie w nos fajkę, która dla niego wszystkie tak rozmaite zabawy Macieja zastępowała.

— A pan Kasper? — rzekł z uśmiechem niewysłowionej grzeczności Maciej, i brnąc po kolana przez kałużę, poszedł zdejmując czapkę pocałować go w brodę. Przyjaciele poślinili się serdecznie.

— A dokądto, panie Kasprze?

— Do miasteczka! ekonomska hreczka! cha! cha!

Pan Kasper, który był w parafialnej szkółce, chorował na rymy, tak że często i przed panem się niemi dławił.

— Cha! cha! rzekł Maciej — eczka! eczka! bodaj aspana. Całuję nóżki! — i znowu pocałowali się na obie strony.

— Bywaj mi zdrow! nie wpadnij w rów! — rzekł żegnając gumienny.

Maciej odwrócił się i począł powtarzając to, tak się śmiać, że nareszcie sam sobie zmuszony został surowo się karząc, dać w bok szturchańca. Ale to nie pomogło, powtarzał pożegnanie i śmiał się, aż mu to przecie powoli odeszło.

Gumienny jechał, oglądał się i śmiał także aż padał.

Nareszcie stara cegielnia zakryła przed sobą dwóch przyjaciół, a zbliżanie ku dworowi upamiętało budnika, który obciągnął poły, poprawił czapkę i nadął policzki.

O kilkadziesiąt kroków od niego, stały znowu dwa ogromne wozy żydowskie ładowne skórą, wełną i Bóg wie jakim towarem, widocznie świeżo i pośpiesznie we dworze napakowanym. Żydzi krzątając się przy wozach, silnie o coś się spierali z sobą.

Maciej kwadrans słuchał ich szwargotania nic nie mogąc zrozumieć i śmiał się, powtarzając — o to gadają! o to!

Na wzgórzu niewielkiem, lecz płaskiem panującym w okolicy, stał dwór pana Jana dokoła topolami staremi, olszyną i lipami osadzony. Na lewo bieląła oficyna i kaplica w stronie, którą zajmowała z częścią ogrodu matka młodego dziedzica; w prawo wznosiła się porządna murowana gorzelnia i folwark. Między dworem a nim, długie żółte stajnie i psiarnie pańskie szeroką zajmowały przestrzeń.

IX

Wesoło doprawdy było we dworze! bardzo wesoło! i pani Pawłowa nie darmo tak nad tutejszem unosiła się życiem. Na folwarku hulanka poczynała się od białego dnia, a gospodarstwa doglądał sam gumienny lub wyręczał się polowym, jeśli polowy nie uprosił na swoje miejsce przysiężnego, a przysiężny nie posłał w zastępstwie chłopca od owczarni. Różnie bywało! Tylko przy wysyłkach produktów na sprzedaż, znajdowali się wszyscy a wszyscy razem, lub z kolei. Pani ekonomowa rodem z Warszawy i ztamtąd niedawno wywieziona przez podkomorzycę, z ulubienicy pańskiej dostawszy posąg przyzwoity, przeszła na żonę pana Bizunkiewicza. Zaczynała ta niewiasta, nie wdając się wcale w babskie gospodarstwo, cała była oddana ubraniu, muzyce (grała na hiszpańskiej gitarze) i towarzysztwu (niezmiernie lubiła oficerów od piechoty).

Na dole u pisarza prowentowego, często i teraz właśnie, paroch miejscowy, sekretarz assessora, dwóch szlachty i pisarz z miasteczka, grali w elbika, polewając to suche dosyć zatrudnienie wiśniówką i ponczykiem.

U klucznicy było także na śniadaniu mnóstwo dostojnych gości: dwie ekonomowe, jakaś obywatelka tłusta na kanapie prezydująca, z synem w mundurzyku szkolnym, ale z czarnymi już wąsikami; siostrzenica pana ekonomy i dwie pokojówki podkomorzynie. A śmiech! a gwar! a uciecha! daj go katu!

W gorzelni pijane dziewczęta tańczyły z parobkami, pisarz prowentowy, wirtuoz wielki grał na skrzypcach.

W stodole młocki spali, świnie żyto jadły. W magazynie gospodarowali żydzi i żydówki.

We dworze czy się jeszcze spać nie kładli, czy już powstawali, ale życie też było wielkie. Przed dom wyprowadzono konie, klaskano z batów, prezentowano żrebce, próbowano wierchowców. W ganku stała czereda przyjaciół, w kurtkach, surdutach, szlafrokach, płaszczach, z cygarą w ustach, fajkami w zębach, kartami w rękach, niedopitym ponczem u gęby.

Wśród nich słuszny, piękny, młody człowiek, barczysty, ogromny, zdrow jak koń, silny jak niedźwiedź, wesół jak ryba, śmiały jak lew, zbudowany jak olbrzym, głośno krzychał i dowodził wszystkim. Był biedny Jaś, poczciwy Jaś, syn pani podkomorzynie.

Nie wiem czy miał lat dwadzieścia kilka, tak młodo mu z oczu patrzyło, tak życiem pierś buchała, taki w słowach był ogień; a obok, jakie w tychże oczach znużenie, w tej piersi czczość i tęsknota niczem niezagłuszona, w wyrazach ust zgrzybiałe szyderstwo!

Jaś durzył się nie bawił, szalał nie żył, upajał a nie weselił. Z szalu w szal, z pijaństwa w pijaństwo wpadając, z odurzenia w odurzenie, biegł szybko drogą życia nie śmiejąc ni za siebie obejrzeć, ni przed siebie rzucić okiem. Ludzie mówili — szczęśliwy; on przecież ciężko wzdychał przez sen, zasępnął się nawet po pijanemu, chmurzył brwi skoro sam jeden pozostał. I potrzebna mu była ta szuja co go otaczała, co mu szumiała w uszy, migiała przed oczyma, co mu śpiewała, brzęczała, pochlebiała, płaszczyła się przed nim i rękę wyciągała bezwstydną; bo sam sobie zostawiony nie wiedział co z sobą począć. Sam jeden zostawszy, musiał kłaść się, spać lub wlec się do ekonomowej, słuchać rozbitej gitary i piszcącego jej śmiechu; a w ostatku łajał, bił i pędził począwszy od psów pokojowych aż do ludzi.

Byłato właśnie chwila szalu i upojenia. Noc zbiegła na kartach, na śpiewaniu, na skokach, przy butelkach i dziewczętach; ranek powitał rozmarzonych, rozkołysanych, szczęśliwych!! Jeśli się to nawet u nich szczęściem nazywało! Teraz próbowano koni, szachowano psami, mieniano się na najtyczanki, frymarczono strzelbami, i zapijano każdy handel, każdy zakład, każdą wygraną i przegraną.

Jaś rzucił się na oklep na konia, ścisnął go silnemi nogami, wywinął nim na dziedzińcu, zakrwawił mu pysk mundsztukiem, w chwili okrył go potem i pianą, zasapał; a dowiodłszy odwagi, siły i zręczności, z odkrytą piersią, odkrytą głową i palącemi dłońmi, skoczył na ziemię w biegu, rzucając wierzchowcowi na łeb cugle, i wracając z pewną dumą rozkoszną na ganek, między towarzyszy.

— Niechże kto z was tego na nim dokaże!

— Brawo! — rozlegało się w sieniach.

— Wielka sztuka — zaburczał ktoś na ławce.

— Sztuka! żadna sztuka! Hej! podajcie tu panu wierzchowca, prosimy spróbować.

— O wa! no to cóż! spróbuję! — I mały, blady, suchy Kazio, który się zgrał w nocy i kwaśny był jak ocet, podbiegł zapalczywie ku karemu. Skoczył raźnie, ale gdy siadł na niego, oczy mu na łeb wyparło, usta się ścięły, dęba się spiął koń pod nim, potem dał szczupaka i — Kazio na murawie.

— Brawo! brawo! majster! — Jeszcze głośniej krzyczą panowie — Wiwat leżącego! zdrowie leżącego!

Podniesiono: go z ziemi, oblano dla otrzeźwienia rumem, napojono szampanem i znowu wesoło.

— Teraz już i mama wstała, pójdziemy strzelać do celu.

— Dobrze! dobrze! do celu — wołają wszyscy.

— Ot i na mszę dzwonią.

W istocie, w ogrodzie na lewo, gdzie oficyna i kapliczka, odezwał się srebrny głos dzwonnka, który cały dwór żeński i faworytów starej pani zwoływał co dzień na nieszczerą może, ale pozornie gorącą modlitwę. Wiedzą dworacy, że okazanie się na mszy zyskuje łaski pani, a pani wiele jeszcze może i ma do dania. Jaki taki więc spieszy od elbika, od szklanki, od czulej rozmowy z towarzyszeniem gitary, do kaplicy, gdzie mu więcej chodzi o to, by go stara pani podkomorzyna widziała, niż żeby mu Bóg modlitwę policzył.

Biegną więc dworacy, oficjaliści, dziewczęta co tchu do kaplicy; nawet ekonom, nawet żona jego porzuciwszy oficerów, i pisarz prowentowy, choć się zgrał z pańskiego śpichlerza (bo grali na wódkę) i lokaje pana Jana.

Ścieżką od oficyn poważnym krokiem postępuje pani podkomorzyna powoli, oparta na ręku ulubienicy swojej panny Tekli Trawskiej, pocichu z nią rozmawiając. Twarz jej pełna łagodności i anielskiego spokoju, oczy niebieskie lecz zbladłe, postawa szlachetna, uśmiech dobroci niewymownej, ubranie wdowie i skromne. Dość spojrzeć by ją szanować. Każde jej słowo, każdy ruch objawia serce dziecinnej dobroci, słodycz charakteru nieporównaną; i taki spokój na czole, w uśmiechu, w duszy, gdy tuż, tuż obok, taka wrzawa, hałas i szaleństwo. Gdyby wiedzieć, gdyby zrozumieć mogła, ile powodów do

zgrzyzoty i łez! Wszystko co ją otacza kłamie, począwszy od syna do ostatniego sługi; wszystko ją oszukuje; wszystko potajemnie kochając ją nawet, z jej słabości, z jej nieprzerwanej ekstazy co świat zasłania, naigrawa się i szydzi.

— Jakże moja Teklusu, powiadasz — pyta idąc drogą panny Trawskiej — Jasko moje zdrowe?

— O! proszę pani, jak rybka dzięki Bogu, zdrowiuteńki.

— Widziałaś-że go ty dzisiaj?

— A jakże. Biegałam oddać dzień dobry od JW. pani; chciał zaraz pospieszyć sam, ale to za temi gośćmi...

— O! jużto powiem ci szczerze kochana Tekluniu, ci goście mnie męczą. Ledwie mogę zobaczyć Jasia. Zbieram mu się nawet kiedyś powiedzieć, że nadto do siebie figur przypuszcza, i Bóg tam wie wreszcie jakich! Ale to serce złote! przez dobroć to robi. Jakże moja Teklusu, spał dobrze?

— Dobrze kochana pani!

— A ten kaszelek?

— Zupełnie ustał po ślaziu!

— A nosiż na piersiach watowaną załóżkę?

— Nosi proszę pani.

— Cóż oni tam robią?

— Nie wiem prawdziwie, ale mają podobno jechać na polowanie.

— O! jużto straszny myśliwy, jak nieboszczyk stryj. I to polska natura: aby się tylko nie przeziębiał, albo nóg nie zamoczył. Czy mówiłaś kochanie drogie, żeby włożył lisiurkę?

— A jakże, i przyrzekł.

— Boto teraz ranki chłodne moja Tekluniu. Ale, ale, jakże się tam ma ta pocziwa ekonomowa?

— Lepiej proszę pani. Koniecznie dziś być chciała na mszy świętej na intencją JW. pani, z podziękowaniem za łaski, których doznaje.

— Pocziwe serce! nieoszacowana kobieta!

— A jaka przywiązana do męża, to JW. pani nie uwierzy.

— Jużto moja Tekluniu ja się tego zawsze spodziewałam, że takie pocziwe kobiecisko musi prędzej później do niego przywiązać. On, to także pocziwy z kośćcami.

— Prawda pani, że to rzadko takiego sługi.

— A pisarz ze swoją fluksją?

— Już zdrów, dziękuje JW. pani za materacyk, ale biedak w wielkim kłopotcie.

— No! cóżto mu takiego?

— Coś mu tam podobno braknie kilkadziesiąt garncy wódki, która się podobno uschła, a że strasznie ma wielki punkt honoru, doprawdy boję się, żeby sobie czego złego nie zrobił.

— A widzisz Teklusu jak to źle — zawołała grożąc staruszka — że ty mnie tego dawniej nie mówiłaś. Widzisz, to trzeba radzić. Widać biedaczysko z tego musiał i fluksji dostać. Bywa to ze zmartwienia. A wieleż mu to tam potrzeba?

— Ja myślę ze sto złotych.

— Dajże mu z moich pod sekretem, ale niech nie gada.

— Dziękuję za niego! Teklusu pocałowała staruszkę w rękę, a ona ją w głowę.

— Pocziwa Teklunia, zawsze to tylko o drugich myśli, a nigdy o sobie. Weź-że kochanie moje, tę czarną atlasową suknię, która mnie wdowie na nic się nie zdała, weź ją sobie za to, żeś mi pomogła do dobrego uczynku.

Panna Trawska przyklęka na ścieżce i pocałowała podkomorzynę w kolano, ta ją znowu w głowę.

— Kiedy już pani mi tyle pozwala i taka łaskawa, to i reszty nie utaję — dorzuciła wstając z westchnieniem.

— No! no? cóż takiego?

— Wszakto i słabość ekonomowej nie bez przyczyny, ona się biedaczka zmartwiła i złąka o męża.

— A mężowiż co?

— Pani wie że on jednodworzec?

— I cóż?

- Koniecznie go chcą stawić w rekruty.
- Mój ty Boże! i powiadasz że jego żonatego mogliby wziąć?
- O! czemuż nie, nawet kolej na niego. Trzeba około stu rubli, a ja nie mam pieniędzy! Co my tu poczniemy? Chybabym gdzie pożyczyla.
- Niechno się po mszy naradzim, jakoś to załatwim. Biedne człeczysko! Prawda że i żona w niemalym być musi strachu? Proszę! proszę! Muszę ją pocieszyć zaraz.
- A! niech się JW. pani zmiłuje, nic jej o tem nie wspomina; mąż stara się przed nią udawać, że to omyłka, że to fałsz.
- No to nic jej nie powiem. A odesłałaś serce do miasteczka kwartałowe do szpitala?
- Wczoraj.
- I dla żydów?
- Także.
- A moje wdowy?
- Modlą się za swoją dobrodziejkę.

Gdy tych stów domawiały, były już na wschodach kaplicy, gdzie cały dwór szeregiem stojący schylał się przed panią, która uśmiechem słodczy pełnym, słowy lub skinieniem głowy witała starszych, pieściła dzieci, rozpytywała kobiety.

Że Bóg wysłuchał pobożnej niewiasty nie wątpię, lecz szatan cieszył się jej dworem.

X

My wróćmy do Macieja, który powoli i poważnie kroczy do dworu. Zagapił się najprzód przed gorzelnią na tańczących parobków, wybijając takt nogą, potem przed folwarkiem, gdzie stały trzy bryczki oficerów i innych gości, które miał sobie za obowiązek sumiennie obejrzeć; potem w dziedzińcu stanął porachować szczekające psy i wierzgające konie, aż trafił gdzie panowie do celu strzelali.

Ciekawy a głupi, wparł się pomimo odpychania pod sam prawie bok strzelającym. Mina jego zuchowato-głupia wyzywała do żartów i wystawiała go na pośmiewisko niechybne.

Jaś strzelił o czterdzieści kroków kulą z gwintówki i chybił; budnik ramionami ruszył i rozśmiał się głośno, a potem pomiarkowawszy czapkę zdjął i pokłonił. Panicze to postrzegli.

- A ty czego śmiejesz się niedźwiedziu?
 - Hę? — odezwał się Maciej głupawo — niedźwiedź nie, ale budnik.
 - To wszystko jedno, czego się śmiejesz?
 - Że kiepsko strzelacie.
 - Patrzaj go, o czterdzieści kroków kulą.
 - A o sześćdziesiąt? spytał Maciej.
 - O sześćdziesiąt?
 - Fanfaron! spróbujże! — zawołał Jaś.
 - Jasny pan żartuje.
 - Nie! nie! — ile razy trafisz, dam ci za strzał po dukacie, i to tylko o czterdzieści.
 - Jaktó *dukacie*? spytał budnik.
 - Otóż bałwan! nie znasz dukata?
 - Za cóż do kata? Jak chybię to do kata, a póki...
- Wszyscy się śmiali.
- Ktoś ty taki, nieoszacowany brusie?
 - Budnik, JW. panie.
 - Zkąd?
 - Z Osikowego Ługu.
 - A! z moich lasów.
 - Syn Bartosza, JW. panie, rodzony. JW. pan zna Pawłową? Otóż Pawłowy synowiec, a Julusi JW. panie brat, a to Burek mój pies, proszę JW. pana.
- Wszyscy polegli od śmiechu, bo od wyrazów śmieszniejszą daleko była rozradowana i promieniejąca twarz Macieja.
- No! strzelajże, kiedyś z nas żartował, a jak chybisz, bez pardonu stęplami.
 - O! tego nie! JW. panie.

— Nie chcesz?

— Jak chybię, to wolę w pysk wziąć.

— No, zaraz widać kto ma rozum, pewny jesteś że ci nie dam. Strzelaj.

Budnik położył czapkę na ziemi, wziął strzelbę pańską podaną mu, pokiwał głową i oddał ją nazad.

— To śliczne strzelbisko, ale djabeł jego wie gdzie u niej co jest; ja z tego instrumentu nie potrafię.

— A może ze swojej? tem lepiej.

Wśród nieprzerwanych śmiechów wyrwano Maciejowi z rąk jego strzelbę, powiazaną sznurkami, zardzewiałą od wilgoci, a w niektórych miejscach wyslizganą od noszenia; niepozorną, długą, ciężką jak szyna żelazna, z zamkiem klapiącym jak stare pantofle. Pannicze dobrze się z niej przymierzając i celując naśmiali, gdy budnik tymczasem nic nie słysząc i nie widząc, szukał w głębokiej torbie kul, bez których nigdy nie chodził, i nie patrząc na nikogo, zabierał się do nabijania.

— *Place! place!* Komedją będziemy mieli — zawołał Jaś. — Widzisz cel?

— Nie widzę.

— Jakto? koło, a w kole czarną plamę?

— Plamę to widzę, ale bardzo ogromna.

— Jakto! duża ci jeszcze?

Maciej głową kiwnął. Posłano służącego, który kredą w środku celu biały znak położył.

— A teraz?

— Poprobuję.

— Stoim o czterdzieści kroków, nie zmieniam słowa, za każdy raz dukat. No! śmiało!

Zawczasu zabierano się już szydzić, gdy krótko urwany strzał dał się słyszeć i kula w samym znaku białym uwięzła. Maciej ani zważając na podziwienie i oklaski powszechne, już po raz drugi nabijał, po raz drugi trafił.

— Co chcesz za lufę?

— To nie na sprzedaj.

— Dam ci co zechcesz! — ozwał się jeden.

— Jak to co zechcesz? a jak zechcę...

Tu myśl nie przyszła czegoby mógł zażądać, i dodał z uśmiechem: — A na co lufa?

— Juściż to wiesz, spodziewam się.

— Bo z pozwoleniem pana, pan myśli że to lufa strzela?

— A cóż?

— To najprzód panie, że ja mam taki sposób na kule, a do tego panie, że to trzeba umieć.

Znowu śmiechy i budnika poczęto poić, rozgrzewając go i wódką i rozmową. Pan Maciej wszystkie zęby miał na wierzchu, tak w doskonałym był humorze. Strzelił raz trzeci i czwarty z równem szczęściem.

Kazio porwał strzelbę budnika i chciał tej samej sztuki spróbować; Maciej spoglądał z flegmą gdy mierzył i plunął gdy chybił.

— Cóżto u diabła! mógłżem chybić?

— Najniezawodniej — rzekł Jaś, rzucając dziesięć dukatów — kwituję z reszty; idź, najedz się, do kredensu i bywaj mi zdrów. — Budnik ucałował rękę pańską i pozostał długo w podziwieniu nad złotem, które pierwszy raz w życiu posiadał, nie wiedząc czy za nie kupić wioskę, miasteczko, czy kilka mil lasu.

Starannie wreszcie skarb ten zawiązawszy w węzełek, w którym już znajdowały się dwa trzygroszniaki poważne, wyczyściwszy strzelbę i nabiwszy ją loftkami na wszelki przypadek, posunął się naprzód do kredensu, potem na folwark.

Tu potrzeba mu było uzyskać za kwitem należną mąkę, którą kum Bartosza, kowal dworski, obiecał odwieźć do Osikowego Ługu. Ale dajże sobie rady w takim dworze, nawet z rozumem Macieja! Najprzód nie było ekonoma, potem nie było pisarza, nareszcie nie było gumiennego, który wiedział o przysiężnym; a gdy przysiężny przyszedł, nie miał kluczy, gdy się klucze znalazły, pokazało się w ostatku że nie ma mąki. A zatem kowal pożyczyl skarbowi, za co skarb z lichwą miał mu oddać; dość że szczęśliwy Maciej siadłszy na wóz, już miał wyruszyć z workami i kowalem, gdy zaufany pana Jana sługa, który raczej na podpanka niż na służącego wyglądał, wstrzymał go kiwając nań ręką zdaleka.

— Wasan jesteś syn Bartosza? — spytał od niechcienia, spoglądając razem na Macieja i na wyjęty z kieszeni cylinder.

— Tak, syn rodzony Bartosza, nazwiskiem Młyński.

— Hm, a cóż tam u was bieda?

— O! sroga biedzisko.

— Poco bo się tam w tej budzie kwasicie? hę? Wszak masz siostrę?

— A jeszcze jaką śliczną!

— Stara pani nasza obiecuje ją wziąć do garderoby, i tybyś może znalazł służbę we dworze, na przykład na strzelca.

— Zapewne, co ja na strzelca i rodziłem się; a co do Julusi, to się pana ojca patrzy, nie mnie. Albo ja wiem czemu jej nie oddaje? niechajby oddał.

— Powiedz tam ojcu niech ją przyśle.

— Alboto oni mnie posłuchają? — Ruszył Maciej ramionami. — A potem też pojechali do miasteczka.

Kamerdyner uśmiechnął się. — No, to jak powróci.

— A do czegożto mówiliście mieli wziąć Julusię?

— Do garderoby.

Maciej długo milczał, rozważając cobyto miało znaczyć, nareszcie odpowiedział:

— Pewnie tatulo nie zechce.

— Zechce, nie zechce, a ty powiedz swoje — dodał gładząc bokobrody służący — jeśli rychło jej nie oddadzą, to potem i miejsca nie będzie.

Zawrócił się kiwnąwszy głową i odszedł.

— W istocie — mówił sam do siebie — nieszpetyny dziewczak się robi, a w nędzy to to zparszywieje. Paniczowi raz wraz na myśli ta dziewczyna, a tu już we dworze same tylko lupinki. Nudzi się biedaczysko. Tylko że to sprawa ze starym Bartoszem. Bodaj żeby nie było ciężko. Ale takiż nas nie pozabija.

Ruszył ramionami i ziewnął.

— Trzeba pospieszyć rozporządzić się wedle śniadania, bo to ta szuja wiecznie głodna, żre, żre, a nigdy się naćkać nie może. A za karty gałgany szachrują i nie płacą. Szerepetki! tfu! Za całą noc wszystkiego piętnaście rubli; trudno się nie pogniewać. Skąpcy! bodajto nasz! A! tylko że go drą na wszystkie strony niemilosiernie. No! jest bo co i drzeć. Kiedy pan to pan! Pieniędzy zawsze huk, a kiedy da to garścią.

Ziewnął znowu. — Nieszpetyny dziewczak, i kurczę to jeszcze młode, możebyśmy przy niej dłużej powiseli; a tu nam nie nastarczyć, coraz co nowego: dalej i na cztery mile wkoło nie dostanie. — I tak pomrukiwał wedle swego zwyczaju idąc ku dworowi, gdy Maciej tymczasem na furze z kowalem powoli ciągnął się do budy. Nim się naprzód wybrał i jeden i drugi, nim się pod las po grobelce dobili, dobry był już zmierzch, ale mimo ciemnej nocy, na którą się zabierało, nie obawiali się wcale zabłądzić. Znali oba doskonale drogi i drożyny, nawet te któremi w bór po drwa jeżdżą, nie prowadzące nigdzie krom porębów dalszych za błotami. Maciej poczęstowany kilkakrotnie czuł usposobienie do snu i kiwał się na workach; kowal fajkę palił i dumał. Niekiedy zamruczał coś pod nosem budnik, Burek jakby dając znać o sobie że niedaleko ubiegł, zaszczekał, wóz zapiszczał, gałęzie zaszumiały i jechali dalej.

Smutny las w nocy, zwłaszcza gdy go jeszcze nie okrywały liście. Te sterczące na mglistem niebie kościotrupy drzew suche, ten szum łamliwy i szorstki gałęzi, wcale różny od wesołego liści gadania; krakanie wron, które w najobrzydliwszą porę najbardziej rade się odzywają, i hukanie sów, i wycie wichru, najweselszego jakimis przepowiedniami zniszczenia zasmucić muszą.

Podróźni nasi zatrzymali się u karczemki Jankiela, przed którą stały dwa wozy i dwa konie wierzchowe; kowalowi bowiem fajka zgasła, a Maciej chciał się napić choćby wody. Zleźli więc oba z wozu i zarzuciwszy trochę siana koniętom, a bardziej jeszcze kozom żydowskim i krowie, która z powagą wybierała między podróżnych zapasami najświeższą paszę, weszli do oświeconej izby.

Gwar był wielki i ludzi dosyć. Koło komina kupa wieśniaków z fajczkami, przy stole z waszecia coś i z żołnierska się zwijało; w komorze pan gumieny głąskał po brodę Sórkę, popijając wiszniak. Jankiel stał na przypiecku rozgarnąwszy poły, i nogi wyjęte z pantofli

z kolei to jedną to drugą ogrzewał przy piecu. Spojrzał tylko na drzwi gdy wchodził kowal i Maciej, i splunął.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

Dwóch odstawnych żołnierzy stojących przy stole obejrżeli się. Jeden z nich natychmiast rzucił się żywo, porwał za ramię Macieja i zawołał:

— Ot i on!

— Co za on?

— Ot! on jest! ot jest! — powtórzyli żołnierze oba. — Nu! to szczęście — i nim jeszcze Maciej zagłupiony i nie mogący pojąć co to znaczy przyszedł do siebie, odebrali mu strzelbę, pochwycili od niego torbę, skrupowali w tył ręce.

Budnik oszupiałym wzrokiem toczył wkoło, wszyscy kupili się koło niego.

— Co to? Co to? pytali ludzie — za co?

— A te gałgany budniki, to konie kradli. Dziś pan Pomocnik złapał ojca co prowadził je, a oto synalek, za którym nas posłali; sam w ręce wpadł.

— Nu! ruszajmy do miasteczka! ruszajmy! Noc się robi.

I nie czekając chwili, spiesząc się tak, że nawet zapomnieli za wódkę zapłacić, wynieśli się co najrychlej z karczmy. Kowal sam pozostawszy, rozmyślił się z mąką jechać choć po nocy do budy w Osikowym Ługu, dać znać Pawłowej i Julusi, że ojciec i syn pobrani zostali. Byłoto poświęceniem z jego strony, ale teżto był pobożny i poczciwy człowiek; panów kochać i służyć umiał. Panowie, Bogiem a prawdą, tyle się jemu i rodzinie dali we znaki, że porachowawszy ściśle co doznał i co czuł, nienawiść jego trzeba mu było przebaczyć.

Dwóch dworskich przytomnych wzięciu Macieja, powróciwszy wieczorem do Sumaczej, wypowiedzieli o tym wypadku w oficynie. Dowiedział się i służący pana Jana i panna Tekla, która o wszystkim wiedzieć była zwykła, i pan Jan, bo mu zaraz o tem zausznicy znać dali.

Wywołany do sypialnego pokoju pan Jan, wysłuchawszy doniesienia służącego, wzgardliwie piękne usta skrzywił i rzekł:

— Jednakże to łajdaki! Patrzenie, konie kradli. A wszyscyście mi mówili o tym starym Bartoszu, że poczciwy, dumny i ciężki człowiek. Widzicie jak nie znacie ludzi!

— Terazby pora wziąć dziewczynę do dworu?

— Jak uważasz, rób tam sobie co chcesz z panną Teklą. Niechaj ona po nią pośle, mnie nie uchodzi; już i tak gadają. A potem zobaczymy.

XI

Wieczorem już późnym weszła panna Tekla z zafrasowaną minką do pokoju, w którym stara podkomorzyna robiła pończochę i odmawiała koronkę. Po twarzy swej ulubienicy poznała zaraz zacna staruszka, że ma coś coby powiedzieć chciała, a raczej czegośby chciała, żeby się od niej dopytano.

— Cóż tam moja Teklusi?

— Wiatr i śnieżek pruszy.

— A! to bieda! A tu bydelku paszy potrzeba. Ale coś ty moja droga masz minkę skłopotaną.

— O! nie! nie! — odpowiedziała panna siadając do roboty przed świecą.

— Ale kiedy ja bo już widzę. To znowu sobie jakiś kłopot cudzy za swój twoje dobre serce przyjęło.

— Doprawdy pani, że nie.

— Ale kiedy ja cię zawsze poznam moja kochanko.

— Ale nie droga pani. To nic, to tak, doprawdy.

— Powiedzże mi, proszę cię. Ja od razu poznałam, że coś ci jest kiedyś wchodziła; ty nic ukryć w sobie nie umiesz.

— Ale bo, droga pani...

— Każę ci, mów, proszę bardzo, mów mi zaraz panno Teklo, bo się gniewać będę. Słyszałaś, że mówiłam ci, każę?

— Nie chciałam pani mówić, bo doprawdy. To znów o tych nieszczęśliwych budnikach, o których już razy kilka wspominałam pani.

— Cóż im tam?

— Nieszczęście, prawdziwe nieszczęście. Wszakto pokazuje się, że ojciec a podobno i syn należeli do szajki złodziejskiej.

— Jezu Marja! czy to być może?

— Teraz pobrali ich do miasteczka, a ta nieszczęśliwa Pawłowa wdowa (coto JWPani dawała jej maść do nogi) i córka Bartosza Julusia, same jedne i bez kawałka chleba zostały.

— To potrzebaby je zabrać do dworu.

— A! doprawdy, toby był prawdziwie miłosierny uczynek. Ta młoda nadewszystko, to bardzo dobre dziecko, a tak opuszczona zwał się może.

— Ale moje serce, nuż jakie nic dobrego?

— Gdzie tam JWPani, to ledwie może ma rok piętnasty!

— I jak to wygląda? bo ty się cudownie znasz na fizjognomji. Nigdy nie zapomnę, jakieś od razu poznała tego Piotra, który mi potem tak swemi głupimi oskarżeniami na wszystkich dokuczył, i Dorotę, co wiesz?

— Śliczne dziecko i zdaje się dobrze jej z oczów patrzy; tylko, Bóg to jeden wie, co jeszcze z niej być może.

— Tak! Bóg to wie i Bóg jeden moje serce, nawet już zepsutego łaską swoją nawrócić i na drogę dobrą wprowadzić może; nasz obowiązek wyciągnąć rękę potrzebującemu pomocy. Zadysonujże moja droga konie po nich jutro. Niech mój Paweł jedzie wielkim wozem i sprowadzi tu te biedactwo. A za to żeś mnie naprowadziła do dobrego uczynku (podkomorzyna zdjęła z palca pierścioneł i oddała go pannie Tekli, która całując kolana i płacząc niby, przyjęła go).

— Co to za serce! co to za serce złote! — powtarzała staruszka.

Jak świt nazajutrz wysłano karecianemi końmi pana Pawła po Pawłową i Julusią.

XII

My go uprzedźmy do budniczej chaty.

Cały dzień przeszły, siedziały kobiety same jedne oczekując Bartosza, a potem Macieja. Ostatniego wszakże znając z gapiowatej ciekawości, rychlej jak późnym wieczorem nie spodziewały się.

Długie próżne oczekiwanie na starego Bartosza, napęłniało je niepokojem; nigdy bowiem wyjechawszy z domy za interesem i bez strzelby, tak długo się nie bawił: owszem, zwykł był rychlej niż się go spodziewano, powracać.

Z ludźmi swojego stanu, Bartosz nie gardząc nimi, nie unikając od nich, przestawał jednak niebardzo chętnie, zbywał milczeniem; czując się i rozumem i czuciem daleko od nich wyższym. Wyżsi nie umieli go ocenić, bo sukmana zakrywała im człowieka; żydów stary cierpieć nie mógł, *pijawkami* ich pospolicie nazywając; wódki prawie nie pił: jedno co mu mogło czas ubiegający skrócić, to las, samotność w nim i cisza. Zrodzony wśród lasów, od dzieciństwa do nich przywykły, tęsknił po borach i obejść się bez przechadzki codziennej nie potrafił. Nie było dnia szarugi, zawiei, śnieżnicy, deszczu czy burzy, by przynajmniej godzin kilka pod gołem niebem nie strawił. Ze strzelbą na ramieniu, nie miał równego sobie myśliwca, łowcem był niezmordowanym i niepokonanym; bez niej chętnie zadumywał się wśród szumu borów, a nie cierpiąc próżnowania, które śmiercią nazywał, zawsze z czemś użytecznem powracał do domu. W porze grzybów zbierał grzyby; to jagody, to zioła lekarskie, to korę lub naczynko jakie wystrugane, sprzączek, sidła na ptaki i tym podobnie.

Zdawało się, że przy pracy zapominał jakiejś wielkiej boleści, którą starannie taił, chociaż ona mu ciężła widocznie. Okoliczni budnicy szanowali go jak patryarchę, radzili się go jak ojca, bali jak swojego naczelnika, chociaż słowy tylko był srogi.

Często na pniu przed chatą, na wywróconym ulu w polance usiadłszy, otoczony swoją bracją budnikami, gdy z upartego milczenia ożywiwszy się wyszedł i usta otworzył, opowiadał im dawne dzieje, stare podania, które najlepiej pamiętał. Nazywał im po imionach i przezwiskach pradziadów ich i dziadów dawno pomarłych, z ich życia dotykając to tylko, czem się wnukowie pochłubić i nauczyć mogli. To znowu sądził sprawy i godził waśni

sąsiedzkie. — Myśmy, mawiał, garścią tu obcych wygnańców, powinniśmy być tem poczciwsi, pracowitsi i lepsi od drugich, bo my tu cudzy, a z nas sądzić będzie lud tutejszy o ojcach naszych i krwi całej, i ziemi rodzonej, z której nas czarna dola spędziła. Ubodzyśmy, to i Chrystus był ubogi i Józef cieślą się nie wstydał nazywać, pracujmy; biedniśmy, cierpmy, a nie skarżmy jak baby, bo to i na nic się nie zdało i ludziom tylko śmiech.

W krótkich słowach często im wielkie dawał nauki; potem gdy widział, że między sobą wzięwszy na rozum rozbierać poczynali, rzucał ich, i smutny a milczący chwyciwszy strzelbę szedł w las dumać i wytchnąć tam z sobą. Umiejętność leczenia ziołami, zwłaszcza ran i wścieklizny, niemało do niego ludu sprowadzała dawniej; teraz zabroniono mu tego i ukradkiem chyba kto się przywłókł.

Maciej nie miał biedaczysko serca u ludzi, a śmielsi nawet szydzili z niego, najzyczliwsi zaś kończyli o nim mówiąc: nie udał się w ojca.

— Ale co to jest, że Bartosz nie wracają? — mówiła Pawłowa wyglądając coraz oknem.

— Może w lesie — odpowiedziała Julusia — a wy wiecie, że w lesie gotowi się zapomnieć i do nocy.

— W lesie, po nocku, bez strzelby? A kazałby tam robili! I Maciej bo głupi, jakby nie wiedział że chleba nie ma, a mąka nam bardzo potrzebna! Ot ośliisko i po wszystkim.

— Kochana pani Pawłowa, alboto my wiemy czego to on się tak opóźnił? Może...

— Jużto taki w tem nie chybi, jest jakieś licho — szeptała stara — niedarmo się zrana sól wyrzuciła. Pamiętam kiedy mój nieboszczyk szedł w tę nieszczęśliwą godzinę, co się miał pobić z tym krzywonosym a potem tak zmarnieć, to i wówczas także sól mi się z drewnianką wyrzuciła. I także na prawą stronę. A tu mierzchnie, dalibóg że mierzchnie!

Zapalono łuczycwo w bondurze, i dwie kobiety zaczęły prząść w milczeniu, przerywanem tylko niekiedy przysłuchiwaniami się zwodliwemu szumowi wiatru, który zdawał się to chodem ludzi, to turkotem wozu. Już się i dobrze ściemniło.

— No, jużto taki nie bez kozery — mówiła Pawłowa pokaszlując — gardło dam, że tu djabelska jakaś sztuczka jest. Stary nigdy się tak bez strzelby nie zabawia; a Maciej, choć taki Boże odpuść głupi, ale też i tchórz po nocy, i w lesie włóczyć się po zmierzchu nie lubi.

— A jak kowal konia nie dał?

— To nie może być, kum. A zresztą kto go wie? może, może! Ja taki zawsze mówiłam, że to chytra sztuczka; wiele obiecuje, jak przyjdzie do rzeczy zwłaszcza taki mnie, to na obwinienie palca nie zrobi nic. Zawsze mówi: daj mi asani pokój. Chłopisko! O jużto z chamem to i w kumy zadać się nie warto; taki cham chamem!

— Ej! ciotuniu! a przeszłego roku na przednowku kto nas ratował?

— Wielka mi rzecz! taki bogacz, sam nie wie o swoich skarbach; kapnął tam co mu z nosa spadło; nie warto o tem i gadać.

Julusia nic na to nie odpowiedziała. Słuchały znowu, nikt nie przybywał.

— Dziw to dziw — odezwała się znowu Pawłowa po chwili, niecierpliwie kręcąc głową — od ilu lat tu jestem, nigdy tego nie bywało.

— O! byle tylko nie jaki przypadek — mówiła ze łzami Julusia. — Te konie cudze, z którymi ojciec pojechał, młode, boję się żeby go nie uniosły, nie rozbiły.

Stara poskrobała się w głowę i mruczała: Już nie darmo sól się przewróciła, a gdy wychodzili z chaty, to wrony jak nadęte krzyczały.

Wtem wóz kowala zdaleka turkotać począł.

— Ot i Maciej jedzie! — zawołała Julusia — a ojca ani słycho. Chwalić Boga że choć brat jest, wyślemy go zaraz za ojcem do miasteczka.

Wóz zatrzymał się przed chatą i Julusia boso wybiegła z łuczyną aż na podwórze. — Macieju! Macieju! — krzyczała — nie wiecie co o ojcu, nie widzieliście go? Wszak do tej pory nie ma.

— Niech będzie pochwalony! Dobry wieczór.

— A to wy kumie, gdzież Maciej?

— Maciej — rzekł skłopotany kowal — Maciej...

— Jako i Macieja nie ma! Cóż to się stało? To ojcu jakiś przypadek się zdarzył. A! mój Boże! — I rzucając łuczynę z krzykiem załamała rękę.

Pawłowa narzuciwszy kożuszyne, bo kaszlała, wyszła także do sieni. — Gadajciez kumie, gadajcie!

Kowal szukał w głowie co miał powiedzieć, i z trudnością zebrał się na kilka wyrazów.
— Bóg z wami! nie truście. Nie ma nic tak złego. Wy musicie lepiej wiedzieć odemnie, co to za głupia sprawa zatrzymała i ojca i Macieja w miasteczku. To o jakieś tam konie, dla świadectwa ich obu zatrzymał Pomocnik.

Stara Pawłowa pokiwała głową, Julusia zaczęła gorzko płakać i ledwie odpowiedziała ze łzami: — Ale to nie może być, żeby oni byli co winni; my wam zaraz rozpowiemy jak to było.

— Niechżeno ja wprzódę mąkę zniosę — odparł kowal, i dźwignął jeden worek.

Cały wieczór potem trwało rozprowadanie obszerne wczorajszego przybycia żydów, które Pawłowa dziwnymi pomysłami ozdabiała. Nareszcie dobrze po północy kobiety ustąpiły do alkierza, a kowal układał się w pierwszej izbie na ławie.

Szarżalo kiedy powstawali. Julusia całą noc we łzach spędziła. Nim się kum wybrał napowrót, i konie też przysłane przez podkomorzynę nadeszły. Wielkie było podziwienie naprzód, potem radość niezmierna Pawłowej, która wszakże pokryła ją udanym frasunkiem, starając się przekonać Julusie, że nie gardząc łaską pańską jechać należało.

Dziewczyna sama nie wiedząc czego płakała; kowal pocieszał ją opowiadaniem o dobroci starej pani. Chatę bez obawy szkody, boć tam w niej nic nie było, powierzono na straż sąsiadowi Marcinowi, budnikowi, a krowę i kozy kowal zabrać z sobą przyrzekł. Wjazd postanowiony został i obie kobiety już się około niedługiego wyboru krzątały.

XIII

My opuścimy Julusie odjeżdżającą we łzach do dworu, i Pawłową która łzy udaje, pociąga nosem, oczy wyciera, spluwa, charka, w sercu się radując próżnowaniem i dostatkiem przyszłym; powróćmy do miasteczka, gdzie stary Bartosz i Maciej uwięzieni siedzą.

Na starcu przekonanym o swej niewinności, niemogącym pojąć, aby go jakimkolwiek, bodaj najniepoczciwszym sposobem upłatać miano w sidła, stan nowy zupełnie dla niego czynił w początku wrażenie lekkiej rany, któraby nie będąc śmiertelną, srodze wszakże bolała. Lecz gdy po pierwszym i drugim dniu z początków śledztwa przekonał się, jak misternie żyd upłatał sieć na jego zgubę, ponura rozpacz opanowała starca, któremu nie tak kara, jak hańba występku była straszną. Jemu, co się nigdy nie zmazał niczem, na starość posądzonym być za złodziejstwo, uwięzionym ze złodziejami! karanym jak złodziej! W pierwszych chwilach o mało nieoszałał, potem przetrwawszy je upadł na słomę i począł gorąco się modlić, nareszcie zachorzał. Zwolna i zdrowie staremu po trosze wracało, ale smutek i rozpacz zostały.

Maciej tymczasem przywołany do śledztwa, obwiniony o uczestnictwo, trzęsiony po więzieniu i znaleziony zbyt na budnika bogatym, bo miał dziesięć dukatów; zmieształ się jak winowajca, siłował wytłumaczyć, jękał, bąkał, ale im dłużej mówił, tem mocniej płatał. W sprawie ojca jął odpowiadać tak, jakby go chciał umyślnie potępić. Było to tylko głupstwo. Pomocnik poddawał mu odpowiedzi, on je za nim powtarzał, a za jego słowy pisano zeznania, które Maciej wielkim znakiem krzyża na końcu utwierdzał.

Gdy staremu odczytano zeznanie syna, popatrzał ponuro i zamilkł. Odtąd postanowił nie odpowiadać i słowa na żadne pytania, nie tłumaczyć się i nieuniewinniać wcale. Zdał sprawę swoją na Boga, a w dumie swej i cncocie wziął się na stoickie milczenie i wytrwałość.

Maciej na pierwsze zapytanie: czy widział kto konie przyprowadził, odpowiedział że Bramko, który gdy krzyknął mu głośno że łże, poprawił, że był tam jakiś żyd nieznamy.

Napisano więc nieznanego tylko żyda. Bramko, że sam pierwszy doniósł, gdzie się konie ukradzione znajdowały, uprzedził, że pewnie na niego przez zemstę potwarz rzucaną będą.

Potem spytany czy konie za pozwoleniem ojca zostawiono u niego, odpowiedział że nie. I znowu na lepszą drogę naprowadzony argumentem bardzo silnym, poprawił się, że żyd coś szeptał, że on nic nie słyszał, że o niczem nie wie, że może była jaka umowa.

Spytano dokąd prowadzono konie; zaklął się naprzód, że ojciec jemu kazał je do miasteczka do Pomocnika odprowadzić, ale zakrzywany znowu, dodał natychmiast, że ojciec sam zaraz siadł je wieść, a on nie wie dokąd i po co.

W ostatku dobadywany jeszcze, czy żydzi często tam bywali, nagał ile razy ich gdzie w lesie widział i zeznał, że u Jakóba Paciorkiewicza, budnika, często konie podejrzane widywano. Słowem, popłótl Maciej niestworzone rzeczy, prawdę i fałsze i takie półsłowa, które spisujący kancelista mógł powywracać jak chciał; czego nie omieszkał też uczynić i skierować je na najpewniejsze potępienie budników.

Bramko swoje doniesienie i zeznanie ułożył bardzo zręcznie i to zabójczem było dla starca. Nie było komu ani się za niego ująć, ani posmarować, ani chodzić i prosić. Córka, której kłamano że ojciec co chwila ma powrócić, nie wiedziała całkiem o położeniu jego i niebezpieczeństwie; bracia budnicy siedzący w lesie, nim się rozśluchali, nim naradzili, nim namyślili pójść, nim to uskuteczniłi, wiele a wiele upłynęło czasu nienagrodzonego.

Już i liście na drzewach zapachem napełniały powietrze, a starzec jeszcze siedział w dusznym, zamkniętym, miejskiem tak zwanem więzieniu. Lecz jak zmieniony, jak zestarzały, jak znędzniały! jak strapiiony i własnym położeniem i niedołążnością syna i niepokojem o córkę o którą się lękał, i spodleniem, które go spotkało! Ciężko było poznać!

Duma i powaga, które tę piękną twarz niedawno jeszcze tak charakterystyczną czyniły, zmieniły się teraz w rozpacz niemą i głęboką, milczącą boleść; przywalony zdawał się o kilka lat starszym, na skroni jego ciemny włos nagle poczynął się srebrzyć i bieleć. Dokoła oczów zapadła skóra i porysowały się marszczki, a usta zacięte silnie, z trudnością nawet na westchnienie otwierały się; tak je woła starca rozkazem milczenia zamknęła potężnie.

Maciej ogłupiony bardziej jeszcze, nie wiedząc co się z nim dzieje, najspokojniej znosił uwięzienie i godził się ze swym losem. Mawiał tylko czasami, że boi się jak ich uwolnią, aby go tatulo nie połajali. Nie chcąc czasu tracić, uczył się fajkę palić.

XIV

Gdy się to dzieje w miasteczku, druga scena tego biednego dramatu odegrywa się w dworze.

Pawłowa z Julusią przybywszy do Sumaczej, osadzone zostały jedna w garderobie podkomorzynej, druga na folwarku jako pomocnica klucznicy. Każdy tu niezmiernie pomocnika potrzebował, bo nikt nic nie robił i rad był zwalić ciężar na drugiego, nie czując się wcale do obowiązków. Tak nierozważna dobroć psuje ludzi.

Tymczasem korzystając z uwięzienia starego Bartosza, którego dworacy znając lepiej od pana, obawiali się, zastawiono sidła na jego córkę. Podkomorzyna przez litość, pomocnicy pana Jana przez rachubę, obdarzyli ją wykwintnym ubiorem i wszystkim czego dotąd brakło ubogiemu dziecku lasów, przywykłemu stroić się w kwiatki tylko; — wszystkim czego nie znało nawet, a do czego nie znając jako kobieta wdychało. Sukienki, koszulki, fartuszki, bursztyny i korale na szyję, chusteczki kwieciste na głowę, trzewiczki foremne ze świecącej skórki, pończoszki białe i wstążki ponętne a wabiące oczy; wszystko to zleciało się do kufereczka Julusi, która choć smutna i strwożona, choć tęskniła za ojcem, nie miała siły, żeby te dary niebezpieczne odrzucać od siebie.

W zwierciadélku tak jej z tem było pięknie, gdy się w niedzielę przystroiła do kaplicy!

Często, często rozpytywała się o ojca, ale jej odpowiadano coraz nowemi kłamstwami lub nowemi nadziejami, uspokajając niebogę. Szczególniej Pawłowa, której wierzyła Julusia, a która Boga w sercu nie miała, prawiała jej to to, to owo; od dnia do dnia powrót Bartosza odwlekając, obiecując, oznajmując, donosząc jej fałszywe słowa, któremi ją niby pozdrawiał. Drżała wprawdzie na myśl jego powrotu, ale zdawało się jej potem i tem się uspokajała, że ciężko obwiniony nigdy już na swobodę nie wyjdzie.

Z długiej nędzy, z niedostatku, chłodu i głodu, z ciężkiej pracy, kiedy się młodość pragnąca życia wyrwie na światło, pogodę, do dobrego bytu i swobody; jakże naówczas zamaszysto a szeroko bije serce, jak myśl ulata potężnie!

A wśród tego żywota nowego, ilekroć chmurka ma je zaćmić, jak sami kłamiemy sobie, że to nie chmura burzy, ale obłoczek deszczowy co tylko ziemię spragnioną orzeźwi. Lękamy się utracić chwili drogiej, wprzód niespodziewanej nawet, teraz warunkiem już życia będącej.

Przeszłe życie Julusi wśród głuchego lasu, wśród ciężkich znojów, często w niedostatku, którego wyobrażenia mieć nie możemy, tłumaczyło ten zapal i pragnienie wesołej,

słonecznej chwili. Wspomniawszy na te dnie długiego milczenia, nieprzebyte, nieskończone, oblane łzami i potem, snem głodnych marzeń zamknięte, i samotność niczem nieprzerwaną; dziewczyna dostawała dreszczu i w głowie jej się kręciło.

Tu równie, przyjaciółki, piosnki, i zabawy wesołe i przechadzki swobodne i tańce niedzielne i słówka pochlebne i jakiś raj w przyszłości świecący; czarną i okropną robiły przeszłość.

Zwykłej do pracy, do milczenia, do połań, łagodne i pieszczone obejście, wygody życia, stroje załotne, uśmiechające się twarze, dnie spoczynku po dniach zabawy, dnie zabawy po dniach spoczynku, błogiem czyniły życie; nie wiedziała czy można było jeszcze życzyć czego, pragnąc więcej, chyba ojca przy sobie, wolnym i szczęśliwym jak ona była.

Węza co pełzał pod tym wieńcem kwiatów, nie widziało dziewczę jeszcze. A pan Jan często i nadto często począł się przechadzać do oficyn, i panna Tekla z Julusią, którą w szczególną wzięła opiekę, nierzadko też robiła wycieczki ku dworowi, tak że się prawie zawsze w lipowej ulicy spotykano z paniczem. Julusia dzika jak leśna koza, kraśniała, płonęła, mieszała się, spoglądała z pod oka; podobał jej się ładny chłopiec, ale zrozumieć jeszcze nie mogła, jaki jej los gotowano.

Czasem błyskawicą prześliznęła się myśl po głowie: a nuż panicz pokocha? I westchnęła i dumiała i śmiała się jak z marzenia.

Julusia nie była już nieświadomem dziecięciem, bo nędza i cierpienie dojrzewają rychło i uczą wszystkiego: złego i dobrego, a nad ich oddech nie ma straszniej trującego wyziewu; ale nauki ojca i własna myśl nie dozwalały jej pomyśleć nawet, żeby chwili upodobania i szału miała siebie poświęcić; ile razy pan Jan myślami gorącymi zajął jej młodą głowę, śniła, że ją pokocha i jak w bajce — z nią się ożeni.

Zdawało się jej to naturalnem bardzo, a w zwierciadelku twarzyczka mówiła: — to być może!

Tymczasem co dnia, co godziny, oswoiwszy ją, powoli ścieśniano zastawione sidła. Ale środki użyte na biedne leśne dziewczę, złe były właśnie dlatego, że nie dotykały ani jej głowy, ani serca; zamierzając zgubić ją w sposób gwałtowny, zwierzęcy, przemocą i siłą.

Przemocy pojąć, przypuścić nie mogła; a dumnym ciemnym oczu wejrzeniem, odrzuciła zuchwałych daleko, nie pozwalając nawet przybliżyć, nawet się dotknąć do siebie. Za serce, za głowę, nikt jej ująć nie umiał; panicz choć ją lubił, kochania grać, ani okazać nie myślał, a gdyby je czuł nawet, kto wie? możeby się wahał prostej dziewczynie objawić. Zdawało mu się, że się wszystko kupuje i za wszystko płaci.

Wreszcie gdy opór niespodziany a dumny i wzgardliwy niecierpliwic poczynał, a Julusia zastanowiwszy się nad sobą, tak uparcie zamykała się w garderobie, że z niej krokiem ruszyć się nie chciała; gdy wszelka nadzieja dla panicza upadła, a sidła zostały próżne i daleko, potrzeba było o zmianie ich pomyśleć.

Po długiej naradzie z pokojowcem ulubionym i panią Pawłową, postanowiono: że sto razy lepiej, dogodniej i bezpieczniej będzie odwiedzić dziewczynę z starą ciotką do budy w lesie i tam tylko opatrzyć je we wszystko, by zdaleka od oczu, w głuchej ustroni odwiedzać gdy się podoba. Postanowiono wyporządzić i rozszerzyć budę, nieszczęśliwie podarków, działać przez namowy Pawłowej, która się podejmowała być szatanem kusicielem, nasylać na Julusią dziewczętą garderobowe podkomorzynę, muzykę, dworaków: słowem, nie oglądając się na nic, szybko i wszelkimi środkami dążyć do celu! We dworze między innymi niedogodnościami, lękano się i tego, by wiecznie ślepa pani podkomorzyna nie opatrzyła co się dzieje, a dziewczyna nie wygadała się z czem przed nią dziecinnie.

Pannie Tekli, wmieszanej do haniebnego spisku, łatwo było wytłumaczyć przed starą panią, że Julusia nadzwyczaj tęskni za swoją chatą i lasami, że do nich przywykła bardzo, a dniem i nocą tajemnie płacze, nie śmiejąc mówić. Ulitowało się dobre serce staruszki, i z dodaną Pawłową i stróżem ze dworu, wyprawiono obie nazad obdarzone, z bogactwami nieledwie, postarawszy się wprzód o powiększenie chaty, zaopatrzenie spiżarni, a na miejsce chudej krowy i dzikich kóz, piękne bydelko postawiono w obórce.

Lecz godził się szczegółowo malować tę część naszego obrazka, tak znajomą, tak pospolitą? Godził się po setny raz rozwijać przed wami historję uwiedzenia, które im łatwiejsze, tem sroższej może warte jest chłosty! Potrzebaż opisywać i wieczorne odwiedziny w puszczy pana Jana, i zdradliwe namowy Pawłowej i upór Julusi i szal który

nareszcie młodą zakręcił głową i wszystkie sposoby bezecne, jakich namiętność użyć nie wahała się?

O! zwierzę nie może być obrzydliwszem od spodlonego człowieka.

Cienie lasu pokryły zbrodnię popełnioną bez serca, w imię serca, z zimnym namysłem i rachubą, z lekkomyślnością występłą, z uśmiechem potępieńca. Jedna Pawłowa a z nią szatan uśmiechnęli się tej chwili, którą wiele łez gorzkich obmyć miało.

Julusia została ulubienicą pana Jana, ale wkrótce wstręt, pogarda, rozpacz zachwiały słabą jej głowę. — Przechodziła z szalonego śmiechu do łez nieutulonych, tłukła głową o ściany, rwała piękne czarne włosy, łamała ręce i latała jak obłąkana po łące i po lesie, powtarzając: Ojcze! Ojcze!

Wkrótce gdy Jan przybył z postawą pewną siebie i zwycięzką, odtrąciła go silnie, a nachmurzywszy brwi, przystąpić mu nawet do siebie nie dała. Ten dziki opór rozjątrzył napastnika, i gdyby był rachubą, korzystniejszym dla Julusi byłoby nie mógł. Opór ten i wzgarda, przywiązały panicza do biednej dziewczyny.

Wyrzuty, obojętność, smutek i rozpacz ciągnęły go silniej może do chaty budnika, niżeli miłość, prośby, łzy i zakłęcia.

Pawłowa tymczasem mocno się zadumywała i niepokoila, poglądając na Julusię.

— A to szatan dziewczka! — mówiła na przypiecku siedząc i głaszcząc ulubionego burego kota. — Licho wie co to tam w tej głowie; gdzie i ojcowska krew. Dumne, głupie a niepokonane! Co to ubogiemu tak się z sobą drożyć! Oj! gdybyto Pan Bóg dał drugi raz młodość, wiedziałabym ja co z nią zrobić! A tymczasem żeby tylko licho starego nie przyniosło, bom gotowa guza oberwać albo i gorzej.

Jednego ranka nareszcie Julusia przepłakawszy noc całą, znikła nagle z chaty. Pawłowa sądziła, że ją uprowadzono do dworu, ale Jan nadjechał wedle zwyczaju i przestraszył ją zapewnieniem, że dziewczyny nie było we dworze. Rozbiegli się tedy jej szukać, i wieczorem dopiero znaleziono biedną w głębokim lesie, nawpół obnażoną, z rozpuszczonemi włosy, siedzącą na pnium z oczyma osłupiałemi, z usty skrzywionemi uśmiechem, obłąkana zupełnie.

Wielki był przestрах pani Pawłowej, i pierwszy raz Jan uczuł dreszcz jakiś przebiegający od ciała do duszy, ściskające się serce, oczy krwią zabiegające. Niecałkiem jeszcze zepsuty, pojął nareszcie swą zbrodnię. Odtąd codziennie przybywał do obłąkanej i tu dnie całe pod pozorem polowania trawil.

Dziwne było obłąkanie Julusi. Niekiedy ale rzadko w szal i wściekłość prawie przechodząc, uspokajało się rychłym strumieniem łez, a potem zlewało się w słodkie jakieś marzenie, jakby senne widzenie, pełne czarownego wdzięku, a przerażające dla świadków — bo za niem stała straszna rzeczywistość.

W szaleństwie rzucała się na Pawłową i innych przytomnych z czem miała; często nożem krwawiła sobie piersi chcąc się zabić, leciała do wody żeby utopić, szukała sznura starając powiesić! W każdym izby kącie widziała czarne oczy ojca, poglądające na nią z boleścią i wyrzutem. Zakrywała się od nich chustą i widziała wejrzenie ojca przez nią; narzucała na siebie wszystkie suknie swoje, kryła w najciemniejsze kątki i wszędzie i zawsze wzrok ten starego ojca przesywał ją wyrzutem zabójczym.

Potem osłabła, opadała, osuwała się i poczyniała płakać rzewnie, zdawała usypiać powolnie, aż znów otwierały się jasne jej oczy, uśmiechały usta, rozpromieniała twarz, i jeśli Jaś był przy niej, wysnuwało marzenia, które wyrazy poznać dawały.

— Nieprawdaż — mówiła — chociaż pan jesteś bogaty, ale ty się ze mną ożenisz, tak jak w bajce, którą mi mawiała Pawłowa. Księżę ożenił się z pastuszką. I poprowadzisz mnie do swojej matki, a ona pobłogosławi nas. Dasz mi sukienki szyte w słońca, księżycy i gwiazdy, włożysz na głowę moję koronę, na szyję perły, na nogi złote obuwie i poprowadzisz mnie do ołtarza. Potem, potem. Mówże mi, co potem będzie?

Jan zachmurzony milczał.

— Wszak prawda, że się ze mną ożenisz? dopytywała się Julusia chwytając go za szyję — wszak prawda? Ludzie nie wierzą, śmieją się, ale ja wierzę. Ja jestem biedna dziewczyna, ale szlachcianka. O! nie chłopka, nie! Ty mnie kochasz, matka pozwoli. Wszak mówiłeś mi wczoraj że mnie kochasz? Pamiętasz tam pod drzewami, na zielonej murawie, księżyc kąpał się w strumieniu, ptaszki śpiewały na gałęziach, a mój ojciec patrzył na nas.

Tu na wspomnienie ojca znowu zakrywała sobie oczy, narzucała na siebie suknie, chustki, pościel swoją, usuwała się pod sprząty, aż przestraszył który nią wstrząsał do głębi przeszedł powolnie, rozplynał się łzami, a po nim rozświtało znów rozkoszne marzenie.

— Patrzcie — mówiła — dokoła panowie, panie, księżęta, królowe, a wszyscy kłaniają mi się. Jasieńko mnie prowadzi, prowadzi i posadził na bogatym tronie. Matka siwo-włosa błogosławi nam. Ot! i dzieciątko maleńkie to nasze! Jakie śliczne! co za włoski złote, jakie usteczka różowe, jakie oczki ma niebieskie!

Często dnie całe ciągnęły się te rozmowy samej z sobą, z urywanych wyrazów składane, które Pawłowa słuchała z przestraszeniem, Jan pogrążony w głębokim zadumaniu i smutku.

Jan bowiem od niejakiego czasu odmienił się bardzo. Ludzie własni zrozumieć nie mogli, co mu się stało: bo nikt nie przypuszczał, żeby obłąkanie biednej dziewczyny przyczyną zmiany tej być mogło. Tak przecież było.

Zerwał nagle zabawy ze zgrają towarzyszków, odepchnął od siebie dawne ulubienice; chmurny, zamyślony, smutny, albo sam jeden siedział zamknięty, albo milczący przebywał przy matce, albo latał jak szalony na koniu, lub dnie całe trawił w chacie budnika o chlebie i wodzie.

Nie uszło to oka pani podkomorzyniej, która o zdrowie Jasieńka frasować się poczęła i wysłała czempredzej po doktora.

Ale co lekarzom do chorób duszy i zgryzot sumienia? tego ani hydropatja, ani alleopatja nie uleczy.

Pokiwali głowami lekarze, zapisali coś na papierku i odjechali, upewniając, że choroba pochodzi z zamulania trzewów, lub oni nic nie rozumieją.

We dworze na wieczorynkach, zabawach, rannych schadzkiach dworu, o niczem innym nie mówiono, tylko o chorobie panicza i obłąkaniu Julusi; wróżono, wnoszono, domyślano się, jak też się to skończyć może.

Najpowszechniej zdziwienie i przywiązanie się pana Jana, przypisywano rzuconym *urokom* i *zadaniu* pani Pawłowej, która uchodziła za czarownicę.

XV

Stary Bartosz siedział dotąd w miasteczku, ale rzeczy powoli zmieniać się w jego sprawie poczynęły. Pomocnik niespodzianie poróżnił się z żydem Bramkiem.

Zatem śledztwo w skutek nowych jakichś zeznań i wziętych poszlaków tajemnie przerabiać się poczęło. Zwołany znowu Maciej, który gotów był pod groźbą i fukiem powiedzieć co się komu podobało na samego nawet pana Boga, zeznał, że konie nieochybnie przyprowadził Bramko, że ojciec je chciał oddać Pomocnikowi, gdy na drodze został schwytyany, że żydzisko wreszcie przez zemstę tylko (bo stary Bartosz kradzieży jego przechować nie chciał) sam pierwszy zrobił fałszywe doniesienie.

Prawda łatwo się bardzo popiera, tysiące więc dowodów na wzmocnienie tego zeznania znajdować poczęto. Jeden stary Bartosz tak się uparł w swoim dumnym i pogardliwym milczeniu, że trudno mu było nawet łagodnością usta otworzyć.

— Dlaczegoż? — odezwał się starzec poważnie — wprzódys pan tak nie postąpił, oszczędzając mojej starości, wstydu, cierpienia, które mi życie skróciło, a sobie zgryzoty na duszy?

Pomocnik zaczął się wymawiać, zaczął coś przewracając papiery paplać, gryźć cybuch w gębie, pluć, kręcić się, popijać gorzałkę, zakąsać śledziem, i na tem się skończyło.

Bartosz odpowiedział nareszcie całą historją. Sprawa więc na tem stanęła, że ojca i syna miano wypuścić na porękę, gdyby się tylko świadectwa ich uczciwości przeszłej znalazły.

Właśnie też wszystko teraz składać się poczynęło jak najlepiej.

Od wzięcia Bartosza, w lasach które zamieszkiwali Mazury dawał się czuć brak tego naczelnika, który nie mając żadnej władzy nad bracią, największy przecież na nich wpływ wywierał. W początku może wszyscy radzi byli, że surowe oko i usta surowe, co ich nieraz karcily, na czas się od nich oddalają; ale wkrótce poczuli dotkliwie jak im starego Bartosza brakło: ni kogo się poradzić, ni komu poskarżyć, ni leczyć i pocieszać nie było.

W niedzielę zejść się jak się schodzono do jego chaty na posłuchanie o starych czasach, nie było gdzie. Kilku młodzieży wybierało się na flis, a tu umowy z żydami zrobić i kontraktu dopilnować nie było komu; inni chcieli pójść belki w sąsiedni las ciosać,

ale zabrakło także Bartosza, coby za wszystkich o warunki się z żydem rozmówił. Jeden i drugi zaczęli mówić: — O! źle nam bez starego! Taki co źle to źle.

— I taki nie godzi się żebyśmy go w biedzie opuścili; wszak on nas każdego i nieraz ratował.

— A jakbyśmy pomyśleli?

— Cóż my wymyślim?

— Czyżto już niewinnego poratować nie można?

— A gdybyśmy się złożyli? — dorzucił jeden pocichu.

— Tak! jakbyto było z czego!

— Porzućcież! znajdzie się, aby wola tylko. Tu skórka lisia, tam kilka zajęczych, gdzieś może i losia; u tego trochę masła, u drugiego niepotrzebne cielę. Żebyśmy chcieli, znalazłoby się posprzedawawszy z czego złożyć jaki grosz.

Wielu wprawdzie niebardzo na to przystać chciało, ale gdy się starsi na to zgodzili, drugim już było wstyd, i niejeden odwiązał z brudnego węzła zachowany groszyk z westchnieniem składając go do kupki.

W chacie pana Marcina, niedaleko Bartoszewej budy położonej, zeszli się wszyscy w sobotę, i tam przy kieliszku (bo Marcinowi na to stało, kawał bowiem pola obrabiał, a syna miał co mu służąc dworsko dopomagał potroszce) poczęli się naradzać, komu pójść do Pomocnika.

I trzech starszych a wymowniejszych, i śmielszych, ofiarowało się do tej ciężkiej posługi.

— Wszystko dobrze — rzekł jeden po naradzie — ale jak starego da Bóg uwolnią a do domu wróci, dalibóg nie wiem co będzie.

— A co ma być? — mruknął inny.

— Albo go nie znacie? O córce nie wie, a jak się dowie, nie znieś tego lekko.

— Ba! albożto on pierwszy?

— Nie chciałabym też być na miejscu Pawłowej! — mruknęła gospodyni.

— O! bieda jej będzie!

— At! wylazłszy z gorszego kłopotu.

— Coto wy gorszem nazywacie? Pan Bóg wie co gorsze! Niewinnemu nigdzie się nie stanie, a i tu sam Bóg nie poradzi na takie nieszczęście.

— Oj! prawda pani Marcinowa! Ależ taki, gdyby stary powrócił, toby coś pomyślał.

— Córka oszalała; dwór pomaga, ale to nie na długo: potem przyjdzie golizna i nędza.

— A!

Zamilkli. Marcin pokiwał głową i węża pokręcił.

— Wszystko taki — rzekł — lepiej żeby gospodarz był w domu.

— Tylko mu na razie nie mówcie o tem.

— Musi już wiedzieć.

— Nie! nie! Któżby się zaś odważył z tem do niego przystąpić.

Długo tak jeszcze gwarzyli budnicy, aż gdy wódki i zakąski niestało, pobrawszy z kąta strzelby, bez których ruszyć się nie mogą, pocałowawszy się z gospodarzem, a żonę jego z kolei wszyscy w rękę, rozeszli się umawiając kto do miasteczka z Marcinem miał iść, o miejsce i godzinę.

Nazajutrz rankiem, w borsuczych torbach, nowych łapciach i białych koszulach, ale bez strzelb, trzech wysłańcy spieszyli do pana Pomocnika.

Na kraju lasu przyłączył się do nich przypadkowo idący czwarty (byłato niedziela), i tak gwarząc powoli pociągnęli ku miścinie, której szary kościółek, białą cerkiew i czarne domostwa zdaleka widać było.

Nielatwoto w dzień targowy dostać się do tak wysokiego urzędnika, jakim jest w miasteczku pan Pomocnik. Tysiąc interesowanych drzwi jego oblegają; iteraz właśnie tak było. Żydzi, szlachta, obywatele pomniejsi, wieśniacy ze skargami i pobojem, parochowie z pozdrowieniem, wszystkoto napełniało dom, podwórze dworku, na którego czole wisząca tablica oznajmywała mieszkanie pana Pomocnika. Na barjerach, na ziemi, pod płotami, pełno było czekających ludzi, na ławach w ganku izraelici, u drzwi kupa żołnierzy odstawnych.

Pomocnik tymczasem weselił się w gronie dobrych przyjaciół i szanownej połowicy jak on równie wesołej w towarzystwie, i lubiącej tę wesołość czerpać nie tak w sercu

które często bywa próżne, jak w butelce, która zawsze pełną być może, zwłaszcza gdy tylko o napełnienie jej okowitą chodzi.

Na kanapie odartej, wysiedzianej i kulawych krzeselkach, zasiadali dostojni goście, w których gronie pierwsze miejsce zajmował w nowiuteńkiej węgierce z kapszukiem u pętlicy, ekonom pana Jana. Rozmawiano o różnych zajmujących przedmiotach, o umarłym nagle żołdacie, o zabitym żydzie, o skradzionych koniach. Wódeczka krążyła po raz trzeci czy czwarty przed kielbasą, którą nareszcie zadość czyniąc powszechnemu oczekiwaniu, wniósł na obitym półmisku służący w nowiusieńkich łapciach. Byłto pokojowiec gospodarza. Posiłkowała go w posłudze, rozdając szczupłą ilość krzywych widelców między gości, kucharka dziwnie brudna i utłuszczona, której nogi nie w obuwiu narodowym, ale w podartych trzewikach pani, na boso włożonych, po podłodze szelepały. Goście rzucili się do kielbasy, której pożarcie poprzedzone było jeszcze raz wódeczką. Gospodarz bez ceremonji pierwszy sobieabrał na talerz, a potem ręką wskazał półmisek żonie i gościom. W ostatku żywili się sosem z cebulą i chlebem maczanym pisarz i kancelarja, składająca się z kosookiego, kulawego i łysego mieszczczyka.

Po śniadaniu i rozjechaniu się gości, których prosić na obiad zwyczajnie nie było, przystąpił usiadłszy na ławie w ganku Pomocnik z fajką do posłuchania przybyłych z prośbami, skargami i t. d.

Przyszła wreszcie kolej na budników, którzy z nieśmiałością przystąpili do ławki zajętej przez wysokiego urzędnika.

— No! a czego chcecie?

— My tu panie przyszli za Bartoszem Młyńskim.

— Czego?

— Prosić za nim.

— Hm! a gdzież prośba? — I popatrzał na ręce. Marcin wysunął się naprzód i całując w rękaw Pomocnika, wsunął mu *prosbę*. Ten ją z flegmą obejrzał, pokiwał głową i spytał dość łagodnie:

— A czegoż chcecie dla Bartosza?

— Ażeby Jasny Pan uwolnił go. On nic nie winien, zaświadczą wszyscy, że uczciwszego chowaj Boże człowieka u nas nie ma. Cały wiek nigdy go nawet o nic nie posądzono.

— Hm! hm! Ja to i sam wiem, że on może nie winien, ale co chcecie? Prawo grunt! Był oskarżony. No! co ja temu winien! Ja za wszystko odpowiadam. To niemałe *dzieło*. To *dzieło*! No, ale gadajcież, co byście chcieli?

— Niech Jasny Pan uwolni starego.

— Tak! uwolnić! Tu prawo grunt! Uwolnić! ba! Ja odpowiadam za niego przed gubernatorem! Wam się zdaje, że ja tu pan sam sobą, i że mogę co chcę.

— A tak JW Panie!

— A właśnie, że choć wiele mogę, bardzo wiele mogę, i prawie wszystko mogę, a jednak są takie rzeczy.... Bo widzicie, wy tego ciemni ludzie nie rozumiecie, że tu *zakon to dzieło*!

Budnicy pokłonili się w milczeniu.

— I mógłbym uwolnić zresztą jeśli zechcę, ale kto za niego ręczy?

— My wszyscy.

— No! no! poczekajcież! namyślę się, namyślę. Pójdziecie do kancelarji i pomówicie tam z moim sekretarzem...

Do wieczora przeciągnęły się starania; zmierzchem nareszcie wydany został rozkaz uwolnienia dwóch budników, z tem jednak, żeby się na zapotrzebowanie stawili. Strzelbę Bartosza zabraną w budzie, na ręce Marcina wydano.

XVI

Pospieszyli więc do więzienia budnicy, weseli i swobodni, że przecież raz skończyli to, co się im już nieskończonością wydawać poczynało. Bartosz jak zwykle leżał na słomie podparty na łokciu, gdy trzech wysłańcy przyszli mu oznajmić uwolnienie jego.

— No, panie Bartłomieju — rzekł Marcin wesoło wchodząc — dzięki Bogu jesteście wolni.

Podniósł głowę.

— Ha? — spytał nie dowierzając.

— Wstawajcie i chodźmy ztąd; jesteście wolni.

— Doprawdy? — Zerwał się na nogi. — A! Bóg wam zapłać! — I wyciągnął rękę ku pierwszemu z brzegu. — Ha! ależ mi się zdaje, jakbym dziesięć lat tu siedział. A Maciej?

— I Macieja uwolnili.

— Chwała Bogu!

W tej chwili wszedł i syn nieśmiało do izby, z krótką fajeczką w rękę, bo ta go już nie opuszczała ani na chwilę. Ojciec popatrzał na niego, łzy mu się zakręciły w oczach i cicho szepnął:

— Ciężka Boża kara, ale sprawiedliwa! Dziej się wola jego. — I silniejszym już głosem, odezwał się nakładając torbę: — No! chodźmy.

— A Julusia? A Pawłowa? — spytał na progu. — Co to jest, że żadna z nich nie dowiadywała się o mnie. Julusia zwłaszcza, moje ulubione dziecko. Nigdy się tego strapienia od niej nie spodziewał.

Budnicy zamilkli, w ich oczach wyczytał już stary łatwo jakiś przestרח i niepokój.

— Co się z niemi dzieje? — spytał znowu.

— A co! poczekajcie! Ot pójdziemy się ogrzać do Icka nad most, to tam wam wszystko rozpowiemy. Juściż nic tam, nic, nie frasujcie się.

To „nie frasujcie się” zachmurzyło czoło Bartosza, poszedł milczący, i ani słowa nie odezwał się już idąc przez miasteczko. W ulicy pociągnął całą piersią powietrza, spojrzął na niebo na którym połyskiwać zaczynały gwiazdy, otrząsnął się i szerokim krokiem dognał wyprzedzających go towarzyszków.

W karczmie na kraju miasteczka leżącej, w izdebce oddzielnej, bo pierwsza wspólna wszystkim, zajęta była mnóstwem popitych wieśniaków, przysiedli na ławach budnicy. Kazano przynieść wódki, ale rozmowy nikt począć nie śmiał. Stary Bartosz ust nie otwierał, ci zaczepić go nie śmieli. Milcząc trącono w kieliszki z życzeniem: — Daj nam Boże dobre zdrowie — i powoli, powoli, gdy trunek w głowach zaszumił, usta się otwierać poczęły.

— A co — rzekł Marcin — nie frasujciebo się panie Bartoszu. Ba! czyto mnie was uczyć i napominać! Wy to lepiej znacie jak sobie począć kiedy, i jak biedę klepać. A ot, chwała Bogu że jesteście wolni, to zresztą także rady sobie dacie.

Bartosz milczał, tylko czarne jego oczy spoczęły przez chwilę na Marcinie, jakby z niego prawdę o którą pytać nie śmiał, dobyć chciały.

— Mów! — odezwał się sucho — no mów! Nie obwijajcie mi, ja czuję już coś złego.

— Chodzi to po ludziach. Tak, musieliście już co i słyszeć?

— Mów! — silniej powtórzył Bartosz chwytając go za rękę, którą jak żelazem uściśnął.

— Nie męcz mnie. Mów! Cóż! umarła Julusia?

— Ale nie! ale nie! Tak tylko... widzicie chora trochę... chora, ale...

— Chora tylko! a! dzięki Bogu! — rzekł wolniej oddychając. — Tylko chora! no, to jeszcze nic! Tylko chora.

Marcin niezmiernie zakłopotany nie wiedział już co mówić.

— Dawnoż chora? — spytał starzec.

— Ona chora widzicie, i nie takto ona chora, bo...

— Ależ mówcie mi wszystko! Jak dawno?

— A jak ze dworu wróciła, tak potem...

Starzec zerwał się z ławy. — A! więc była i we dworze! poco? poco?

— Albo ja wiem! Widzicie, to stara pani nasza zlitowała się i wzięła ją była do garderoby; ale potem że tęskniło, więc ją znowu z Pawłową do budy odesłali, i na budkach już jakoś zachorowała.

Bartosz wpatrywał się ciągle w oczy Marcinowi, który je spuszczał jak winowajca i dłuwał coś około torby, dławił się i krztusił.

— Kłamiesz! — rzekł po chwili stary, znowu go porywając za rękę. — Mów! na rany Chrystusa!

— No! co mam cedzić po kropelce przez zęby! No co? ot wiesz, to wiesz, a pocóż się pytasz? Ot bywał panicz, bywał, i... i — zwarjowała.

Ale jeszcze tych słów dokończyć nie pośpieszył, gdy Bartosz rzuciwszy rękę jego, popchnąwszy go tak silnie, że Marcin aż się zatoczył, pochwycił z kąta strzelbę, uderzył całym sobą we drzwi i jak strzała wyrwał się z izby i karczmy.

Wszyscy wybiegli za nim, ale w pomroce nocnej zniknął im zaraz z oczów. Marcin, Maciej i dwaj inni budnicy, co najrychlej nająwszy wóz u wieśniaka, pośpieszyli do chaty Bartosza, chcąc go jeśli można uprzedzić, i upatrując, ażali go gdzie nie spotkają po drodze.

Mnóstwo wieśniaków powracało z targu, pełen ich był las, droga, grobla, i wśród tłumu ani podobna rozeznac starca. Najpodobniej też do prawdy, wprost przez lasy, bez drogi pójść musiał. W największej niespokojności dobili się już późno do Osikowego Ługu.

XVII

Stara chata Bartosza, którą on własnymi niegdyś sklecił rękoma, zmieniła się teraz bardzo, skutkiem częstego w niej pobytu Jana i troskliwości jego i podkomorzynnej, która o niczem nie wiedząc, przez miłosierdzie tylko, starała się opisane jej nędzne schronienie podnieść, czyniąc o ile można wygodniejszym i schludniejszym. Przez nią przysłani cieśle dobudowali tu ganeczek do drzwi, drugą izbę z boku, część ścian otynkowano, wewnątrz oporzędono, pobielono, dano podłogi, przywieziono sprzęty. Chwiejący stół i ławy usunięto do alkierza, gdyż na ich miejsce dane były wcale porządne, wzięte z oficy stoliki i krzesła; u okien nawet czerwone okiennice i białe firanki, zawieszane przez Pawłową, były podziwem braci budników. Pawłowa dostała także we dworze jakichś doniczek, któremi ubrała okna, starając się może temi dowodami dostatku i dobrego bytu, na przypadek powrotu Bartosza trochę go rozbroić.

Ale ona nie знаła go wcale; starzec uczciwą nędzę miał za najpiękniejszy żywot w świecie, którego by za żadną ozłoconą i przybraną misternie podłość nie mieniał. Dla niego cierpienie było czemś podnoszącem człowieka; bo je nie inaczej pojmował, jak dopustem Bożym dla dobra i poprawy ludzkiej. Nieraz dawniej, gdy Pawłowa narzekała nieustannie i kwiliła, odpowiadał jej surowo i spokojnie: — Dajcie pokój! widać tak nam *sądzono!*

Nie wiem, czy kto zastanowił się nad głębokim znaczeniem tego pospolitego wyrażenia, Słowianom tylko właściwego: *sądzono*. Nie los więc ślepy, nie traf nierozumny, ale sąd sprawiedliwy ludziom wydziela na co kto zasłużył.

Jestto dowodem, że my nie wierzymy w przeznaczenie, ale w rozumny kierunek rzeczy ludzkich; że nie wierzymy w *los*, ale w *Boga*.

Cicho było w chacie Bartosza, gdy Maciej, Marcin i dwaj inni budnicy, podjechali pod nią, nie śmiejąc już nawet wejść do dworku, którego powierzchowność coś nad mieszkanie budnika oznajmywała. Maciej pierwszy wygapił oczy na ganek i przybudówkę nową, wołając:

— A to co? a to nie nasza chata! Zdaje się, ma być nasza, a jakby nie nasza. A ot i pieniek podle płotu, o którym bywało zawsze się zawadzę. A cóż tu ten dworek robi?

— Cyt! cyt! to to panowie wam pobudowali.

— Za co?

Budnicy zamilkli. We dworku było cicho, a w oknach jasno; tylko głos urywany, srebrzysty, dźwięczny, w przestankach milczenia się odzywał, jakby pomieszany z płaczem. U płotu stał koń wierzchowy, kopiąc ziemię nogą.

Budnicy zajrzeli przez szyby, ale tu osłonki nic im dopatrzeć nie dozwoliły. Weszli więc do sieni, zapukawszy wprzód do drzwi. Wewnątrz, na przypiecku siedziała Pawłowa paradnie strojna i drzemała u kądzieli. Dalej, od ogniska oświecona, pustą zdawała się izba, aż w samym dopiero kącie na ziemi leżała Julusia z rozpuszczonemi czarnemi włosami, które dokoła jak płaszcz spływały; wśród nich biała, blada jak marmur twarz jej i oczy płonące ogniem dzikim świeciły. Ręce miała załamane, a nogi podkurczone. Jak dziecię senne wahała się na wszystkie strony, milcząca, z chmurnem czołem, zwisłą wargą, rozpiętą suknią i potarzanym włosom; obok niej siedział Jan podparty na rękę. Nie było już żwawy hulaka, jakimeśmy go widzieli niedawno: zbladły, smutny, gniewny, zdawał się blizki tego szaleństwa, które z ust Julusi płynąc, sączyło się w mózg jego i serce. Ona mówiła pocichu przerywanym głosem:

— Jutro wesele, jutro! Wszystko gotowe we dworze, i jam gotowa. Tak, nic mi nie brakuje tylko wianeczka. A bez wianka ksiądz błogosławić nie zechce, pani matka wasza mnie odepchnie i ludzie śmiać się będą. Wianek powinien być koniecznie związany wstążką białą i krasną. Biała wstążka to niewinność moja, a krwawa, to miłość, a zielone kwiatki, to moje nadzieje. Chodźmy, Jasińku wiązać wianuszek na wesele; chodź, chodź! — I schyliła się ku podłodze, jakby kwiaty brała. — O dziw! dziwowisko! Co tu kwieciał co tu krasnego kwieciał! a co się po nie schylę, to mi od rąk ucieka. Pomóżbo mi. Ty stoisz jak trup! Aleś ty żywy. Daj mi rękę. O! ciepła jeszcze! Nie, nie, ty jeszcze żywy.

Na te słowa weszli budnicy, a Jan zerwał się zawstydzony z ławy. Julusia obróciła oczy ku drzwiom i szepnęła:

— Nic to! to swaty!

Uśmiechnęła się, ale w tej chwili zobaczyła Macieja, który jej rzeczywistość przypomniał. Zerwała się, podbiegła szybko ku niemu i zaczęła krzyczeć w obląkaniu usiłując ukryć:

— Ratujcie! ojciec! ojciec! A! on mnie zabije!

— Dalibóg, wszak ona oszalała! — zawołał Maciej, biorąc się za włosy. — Aj, aj! ze wszystkim się skręcili. Otóż tobie masz! Będą się tatulo tego gniewali.

Pawłowa przebudzona, nagle także obaczywszy Macieja rzuciła się ku niemu niespokojna. — A co? zawołała — puścili was?

— A! całuję rączki! puścili.

— A! ojciec?

— Ojciec także wolny.

— Gdzież jest? idzie?

— Musić poszli na polowanie czy co, bo ze strzelbą — rzekł Maciej głupowato.

Wtem zbliżyli się i inni budnicy i zaczęli opowiadać jak się to stało, że ich Bartosz porzucił nagle w miasteczku i uciekł nie wiedząc dokąd. Pawłowa pobladła, obejrzała się po oknach, zachwiała, potarła ręką po czole i usiąść musiała, a raczej padła na przypiecek. Maciej tymczasem chodził po izbach i wszystko z ciekawością głupca oglądał, to siostrze obląkanej, to sprzętom nowym się przypatrując. I corazto czego nowego dojrawszy, uśmiechał się, weselił; naostatku wziął w rękę firanki i spytał:

— Pani Pawłowa, z pozwoleniem, do czego te spodniczki, suszycie, czy co? — Ale nic mu nie odpowiedziano.

Jan był uciekł w pierwszej chwili tylnymi drzwiami, a Julusia upadła w kącie, nagarniając na siebie włosy, suknie, stoły, ławy i co pochwycić mogła.

Pawłowa słabła ze strachu wielkiego.

— To on tu niechybnie przyjdzie w nocy i ze szczętem nas powybijają jak pszczoły! rzekła łamiąc ręce. — A świadczę się wami, co ja temu winna? Ja głupiej dziewczynie ciągle mówiłam: — Ej dajcie pokój, bo to się źle skończy. A cóż kiedy mnie nie słuchali. Teraz, ja wiem, wszystko spadnie na mnie. Tak to kiedy nieboszczyk mój potłókl się w tej nieszczęsnej karczmie, albo myślicie ja tam byłam? A taki zawsze mnie ostatnia bieda. Żeby tu było kogo zostawić, jaby do was poszła, panie Marcinie, póki pierwszy ogień nie minie.

Marcin nic nie odpowiedział.

— Albo do was panie Ignacy.

Ignacy milczał.

— Albo i do was panie Piotrze.

Piotr odwrócił się żwawo.

— Oj! żeby nie noc, uciekłabym choć do dworu.

— Ale tu nie o was idzie moja matko — rzekł Marcin — ale o córkę, z którą źle być może, jeśli Bartosz bardzo do serca weźmie.

— A co on warjatce robi — zawołała stara. — Jejto lichy nie weźmie. A ja, jak Boga kocham, że ja niewinna, pieniędzy nie brałam, zawsze ją przestrzegałam. A co ja mogłam poradzić? Jak sobie poszali tak niech się wyśpią. Ja ją raz wraz przestrzegałam: — Ej, ostrożnie, ej! będzie źle. — Ale to młode, a panicz taki i gwałtownik straszny... i głowa się dziecku zawróciła, i zwarjowało to. Ale Bartosz i słuchać nie zechce, ja go znam. Ej! jeśli Boga kochacie, przytulcie mnie który, przytulcie!

Budnicy milczeli.

— Ale bójże się Boga, pani Pawłowa — rzekł jeden nareszcie — a jakże wam to nieszczęśliwe, i tego, z pozwoleniem, nie mówiąc złego słowa, głupca Macieja zostawić tak samych. Toćto nie do kogo należy. Oniż tak zostać sami nie mogą.

— A! zmiłujcież się, przynajmniej sami nie odchodźcie pod noc. Jakbyście wy byli tu, nie tylebym się bała i o siebie i o nią. Ot! zostańcie.

— Z temżeto my tu i przyszli.

— A! niechże wam Bóg płaci stokrotnie. Siadajcie, a zaraz i wódeczka i przekąska i coś na ząb włożyć się znajdzie.

Julusia leżała znowu w kącie po gwałtownym przestrachu jakby odrętwiała i uśpiona. Głowa jej spadła na podłogę, czarne włosy tylko służyły za wezglowie. Otwarte miała oczy i usta, ale zdawała się nie oddychać, nie widzieć, nie słyszeć. Maciej stał nad nią i patrzył się zdumiony.

— To jakaś kiepska bardzo choroba! — mówił do siebie. — Co też to za choroba? Święty Walanty czy co? Musić Walanty! Pani Pawłowa, zawołał, a możeby Julusią podnieść i na łóżko położyć?

— Nie ruszać jej, nie ruszać — krzyknęli drudzy wpatrując się zdaleka — tylko czem czarnem nakryć, to się uspokoi.

Pawłowa pobiegła niewiele na to zważając do alkierza i zaczęła z niego wyciągać co jej się nawinęło: począwszy od flaszki z wódką, aż do wędzonej kiełbasy; ustawiła to wszystko na stole i zaczęła zapraszać. Sama usiadła znów przy piecu i litując się nad sobą, płakała.

Budnicy nie dali się długo prosić; głodny lud umie jeść w strapieniu, we łzach, przy pogrzebie i narodzinach, w rozpaczach i radości zarówno. Nigdy uczucie nie odejmuje mu głodu. Maciej jednym okiem na siostrę z politowaniem spoglądając, drugim upatrując co najlepsze kęski, częstował się jak należało.

Pawłowej wśród szlochów gęba się nie zamykała bo i w głowie myśli latały jak czarownice w sabat.

— Licho mnie tu wniosło, jak pana Boga kocham! Nie było mnie lepiej pójść na służbę, albo do dworu, gdzie ubogich radzi przytulają. Bartosz to taki stary warjat, gotów i zastrzelić i zabić. Wszak taki mówią, że ze strzelbą poszedł. No! a co ja temu winna; dziewczyny na pasku nie trzymać. Już kiedy to bieda! Kumie! kumie! odezwała się do Marcina. Marcin pełną mając gębę kiełbasy przybliżył się do niej leniwie.

— Radźcie mnie co tu począć? a to on mnie zastrzeli!

— I! może taki nie zastrzeli! Kto wie! może nie! Zresztą co tu radzić? Rada nie pomoże.

— Oj! bo wy tak Bartosza nie znacie jak ja.

— Hm! cież my to życie prawie przesiedzieli podług siebie.

— Otóż bo nic nie wiecie; my byliśmy wprzód na innych lasach, jeszcze u nieboszczyka łowczego, kiedy potaż palili. Lat to już temu garstka. Otóż wówczas...

— Tak! ale rychło się Bartosz ztamtał wyniósł i już tu osiedził.

— No! ale posłuchajcie; coto było z młodych lat, to ja tylko wiem. I dlatego tak się boję. Choleryk straszny.

— Czegoż się tak boicie?

— Gorący człowiek, powiadam, choleryk! Wy to nic nie wiecie, jemu jak się co zamarzy, gotów na wszystko.

— Aby nie na złe, temuto nie uwierzę.

— Otóż i nie na dobre. Już ja taki co wiem to wiem. Dość, że to jemu nie pierwszyna awanturę zrobić. A potem mu i nieraz ciężko było w życiu i wzdychał i kawęczał: ale zrobionego nie odrobić. Co się stało, odstać się nie może.

— Ale cóżby się stało? spytał Marcin trochę ciekawy.

— A nie powiecie nikomu?

— A mnie to na co?

— Otóż zmiłujcie się tylko nie powtarzajcie. Ja przed wami jak przed ojcem rodzonym. Jeszcześmy wówczas byli w lasach pana łowczego i stary Bartosz i mój nieboszczyk razem. Nie wiecie bo coto za człowiek był mój nieboszczyk! Już to prawda, że czasami lubił z ludźmi uczciwymi podhulać, ta i podpić, ale co chcecie, taki człowiek człowiekiem. Ależ za to sprytny, a do wszystkiego do czego chcesz, a przewąchał bestja co się gdzie święciło

i przez dziesiątą ścianę. Jakos Bartosz z moim nieboszczykiem mało nie jednolatki byli, obaj nieżonaci, bo mój taki mnie jeszcze i nie zaznał. Aż tu matczynsko im stare umiera, jakos w późną jesień przed Wszystkimi Świętymi, to i gospodyni w domu nie stało. Nu, już taki jednemu trzeba się koniecznie ożenić. Mój był młodszy, o! i tęgi chłopak, jak Boga mego kocham. Ludzie poczeli im swatać nieboszczkę Bartoszwę, młodą i śliczną dziewczę; krew z mlekiem, jagódkę, ale już była we dworze u nieboszczyka łowczego. Bartosz z początku nie zechciał, kiwał głową i nie smakowało mu coś, że to ze dworu, zwyczajnie. A no jak zaczęli go namawiać, że dobra gospodyni, że uczciwa, a liczko taki gładkie było, tak się nareszcie odważył, ta i ożenił.

— Ale cóżto straszego pani Pawłowa?

— A no poczekajcie! To dopiero początek. Jużto że Bartoszwowa była piękna to prawda; bo i na mnie swego czasu ludzie mówili że była niczego, ale tamta to jak pani wyglądała. Więc że we dworze bywała, języka w gębie nie zapomniła, a i w głowie się trochę przewróciło, i taki Boże odpuść, nie kochała Bartosza, a tak sobie za mąż poszła, że ludzie namówili. Świętą prawdę mówię, nie dodaję, Bóg świadkiem. Po weselu tedy, aż tu Bartosz coś zmarkotniał, jakby go kosą podciał, a żonie zrobił się przykry okrutnie. Ta także sobie po nosie jeździć nie dała: co on jej jedno, ona jemu dwoje, i taki osą w oczy. Aż i ze wszystkim popstrykali się, ta i gadać do siebie przestali. Mój już się wówczas o mnie starał, a taki był sprytny, że zaraz dowąchał się, że to się źle skończy. I mówi bywało do mnie: Salusiu (bo taki Salomea mam imię) obaczysz, że tu z tego coś wyrośnie lichego. A ja na to nic, a on wiedział co mówił. Posłuchajcieżno tylko. Jeden drugi poczynają bąkać, że ze dworu jakiś gaszek do Bartoszwowej udaje się, i jak bywało, nasi przy potażu dzień i noc, ona tam gościa przyjmuje, ta i dobrze. Doszło to do uszu Bartosza. Ale on jakbyto nic, aż jednej nocy znikł. No, nie ma, nie ma, myślą sobie, poszedł. A on nocą zakradł się i czyhał. Nadjeżdża przyjaciel Bartoszwowej, on jemu nic, puszcza go do domu, a sam w sieni zakrada się. Kiedy już sobie we dwójkę na łóżeczko siedli, ten wymierzywszy ze strzelby, a wzięwszy ich na cel, jak rznie, tak gachowi rękę tylko chwala Bogu przebił, a łaska Boża, żonie się nic nie dostało. Potem jak skoczy do nich, żona omdlała, ten uciekł okno wybiwszy. Jakos się to potem pogodzili, ale nieboraczka z przestrachu zachorowała i nędzniała jeszcze długo, aż po Macieju i umarła. Onto sam czuje, że jej śmierć przyspieszył, choć niedarmo, bo taki dworka była i to jej też ponoś nie pierwszyna kochanie. Ale taki wszystko, za te głupstwo człowieka ze świata gładzić niewarto.

Otóż widzicie, że ja się niedarmo boję; bo trzeba wam wiedzieć, że on córkę strasznie kocha, a nie bez myśli on ze strzelbą od was uciekł.

Marcin się zadumał.

— Jakto — spytał — a za to przebicie ręki dworakowi nie było sprawy?

— Coto chcecie! to insze czasy były! A szlachcic i czuł że niedarmo dostał i Panu Bogu dziękował, że się na tem skończyło. Bo taki nie umarł z tego, tylko zkałczał. Chodzi biedaczysko do dziś dnia za jałmużną; a pewno go znacie: Jeremiasz.

— Jakże nie!

Przerwał rozmowę śmiech dziki, z którym przebudziła się Julusia z odrętwienia, w jakim leżała i powoli powstawać poczęła. Maciej pośpieszył do niej. Pawłowa i Marcin przystąpili także, a podniósłszy ją osłabłą z ziemi, położyli w alkierzu na łóżku.

Budnicy podjadłszy i zapiwszy wodą, pokładli się spać na ziemi, Maciej poszedł na znajome wyżki, prowadząc z sobą nieodstępnego Burka swojego; Pawłowa tylko częstując Marcina, którego prosiła aby z nią został, trzęsła się ze strachu i krokiem od pieca ruszyła się nie śmiała.

XVIII

Koguty piał już po północy, a wszyscy w chacie spali lub drzemali, luczycie ciemno się dopalając trzaskało na kominie, gdy szybki chód dał się słyszeć koło drzwi i sieni najprzód, potem izba otwarła się z kolei.

Pawłowa, która się była z placu zdrzemnęła, chwyciła się równemi nogami, postrzegła wchodzącego Bartosza i padła jak nieżywa na ziemię, wołając na głos:

— Nie zabijaj! nie zabijaj!

Budnicy rozespani popodnosili głowy z posłania, nie wiedząc co się to stało.

Starzec wszedł, popatrzał i popychając nogą Pawłowę leżącą na ziemi z niejakim obłąkaniem, zawołał ponuro:

— Precz gadzino! precz ztąd! niech cię oczy moje nie widzą! niech tu noga twoja nie postanie! Precz! uciekaj! lub...

Oslabły ze strachu Marcin, wypchnął natychmiast Pawłowę za drzwi, obawiając się jak mówił później, aby Bartosz nieszczęścia jakiego nie zrobił.

Obejrzał się wkoło budnik, potoczył oczyma krwią zaszłemi, westchnął i powolnie poszedł ku alkierzowi, wzięwszy w rękę łuczywo z pieca.

Gdy na progu ukazała się postać jego, uśpiona jeszcze Julusia wstrząsała się, krzyknęła przeraźliwie i tuląc się pod koldrę, zawołała: — Ojciec! ojciec!

— Tak! tak! to ja dziecko moje! — ze łkaniem łagodnie odezwał się starzec — to ja! nie lękaj się biedna! Nie przyszedłem cię sądzić, ale pocieszać.

— A! zabijesz mnie! zabijesz!

— Julusiu! opamiętaj się, to ja!

Dziecię krzyczało coraz mocniej, stary płakał wielkimi łzami, które mu grochem spadały na brodę. Rzucił ogień, załamał ręce i usiadł przy jej łóżku. Powolnie przyciągnął ku sobie jej głowę rozpaloną i ręce ostygłe. — Dziecię moje, Julusiu, nie obawiaj się. Wiem wszystko, tyś nic nie winna! ludzie Bogu odpowiedzą za ciebie, za mnie.

— O! jam niewinna! — powtórzyła dziewczyna.

— To ja! ojciec z tobą, nie zbójcy i nie łotry, jakimi cię tu otoczyli bezemnie. A! nie ujdzie im to! Bóg świadek! O! nie przebaczę! Ale ty, tyś niewinna!

— Ojciec, ojciec! odezwała się cichszym i spokojniejszym głosem — wy mnie nie zabijecie, jakeście zabili matkę!

Starzec krzyknął boleśnie i ukląkł przy łożu.

— Boże! — zawołał — sroga kara twoja! Za brak miłosierdzia i przebaczenia, tyś mnie i dziecku nie przebaczył, tyś litości nie miał nad nami. Bądź wola Twoja! — Julusiu, chodź ze mną, pójdziemy ztąd daleko. Ja cię poprowadzę, a jeśli iść nie podołasz, poniosę, ale iść nam ztąd trzeba! To miejsce hańby!

Na te słowa wyrzeczone prawie z czułością, z błaganiem i prośbą, dziewczyna powstała jakby ze snu, odgarnęła czarne swe włosy, i strumieniem dawno nieznanych łez, bo płakała suchemi dotąd oczyma, oblała powrót chwilowy do przytomności. Twarz swoją skryła w załamanych rękach.

— Chodź! chodź! dach to nie nasz! ziemia obca, cały dom skalany ich obrzydłymi podarkami! wszystko zmienione, cudze. Ustroili nas na świadectwo naszej hańby. Nie! ani chwili tu dłużej, chodźmy!

Julusia powstała nagle i jakby oprzytomniona powtórzyła: — chodźmy.

Wychodząc chciała wziąć na siebie nowe odzienie, ale stary precz je odrzucił i nogami podeptał, a zdzierając z siebie sukmanę, okrył nią drżące dziecko.

— To moje, rzekł i czyste! Nic nie ma na tem prócz łez. Nic ztąd nie weźmiem, prócz iskry z mojego ogniska — nic!

I wyszedł z nią na próg pierwszej izby, w której rozbudzony Maciej i budnicy stali przypatrując się, słuchając i nie spełna co się działo rozumiejąc.

Dziewczyna ledwie się na nogach utrzymać mogąc, chwiała, ślaniała, a szła za ojcem. Ten wziął głównię z ogniska i wyszedł milczący za próg. Wszyscy za nim na podwórze.

Tu opuścił na chwilę rękę córki i zatykając żar w słomianą strzechę świeżo poszytej szopki co obok stała, rzekł do Julusi: — Czekaj, niech oczy napasę pożarem!

Wiatr wkrótce rozdał płomień na dachu i posunął go na suche dranice domostwa.

W milczeniu zgrozy, podziwienia, przestachu, budnicy niezrozumiale coś między sobą szeptali, nie wiedząc co począć. Maciej tylko głośnawo mówił do siebie:

— Ale jakże się ślicznie pali! Ot! ot i chata! Taki się spali! Dalibóg się spali, a tam i kielbasy są.

Na wzgórzu stojąc, oświecony ogniem pożaru, z długą brodą, w jednej szarej koszuli, ze strzelbą na ramieniu, starzec poglądał na płonące domostwo, ale suchym okiem. Julusia oslabiona zsunęła się na ziemię, a w jej wejrzeniu znać było błysk powracającej przytomności. Niekiedy wlepiła źrenice w ogień, to znów w ziemię wilgotną na której spoczęła.

Rozdęty wichrem pożar, rozległ się na dachu i zaglądał wewnątrz; w oborze ryczało bydło i rwały się becząc kozy, do których dym już zachodził. Czerwone blaski oświecały dolinę i las cały; ptastwo na gałęziach budziło się i świergotało.

Tymczasem i wczesny dzień letni blado zarysowywał się na wschodzie. Starzec gdy pewien był, że domostwa ludzie uratować nie potrafią, bo całe płomienie objęły, pochwycił rękę córki i nie oglądając się nawet na syna, poszedł w las wielkim krokiem. Maciej poskrobał się tylko w głowę, ruszył ramionami i machinalnie pociągnął za ojcem. Burek za Maciejem.

Budnicy zostali milczący i osłupieni.

XIX

We dworze było spokojnie. Jan powrócił nocą i rzucił się na łóżko odprawując sługi. Ale sen odbiegł od niego daleko; rzucał się, kręcił, pił wodę i wino stojące przy łóżku — napróżno. Coraz to większa trawiła gorączka, większy nim miotał niepokój. Czego? nie wiedział. Sto razy powtarzał sobie: Cóż mnie ta dziewczyna ma obchodzić? Albożto pierwsza? Albożto tak wielka zbrodnia? Dam im co zechcą: nagrodzę, obdarzę, zapłacę.

A w sercu czuł przecie, że zapłacić nie był w stanie, że nienagrodzonego nagrodzić nie mógł, a na duszy wiecznie mu kamieniem występki ciążyły będzie.

— Głupstwo! — powtarzał — głupstwo!

A przecież ani usnąć, ani się uspokoić nie mógł. — Oszalała! małoż szalonych na świecie? Cóżem ja temu winien. Lekarz mówi, że miała usposobienie. Tak jest, jam nie winien, usposobienie winno. Albożem chciał tego? A i to nawet przejdzie! to przejdzie!

Mogłaż ona myśleć, że ją pokocham, tak, że się wreszcie ożenię? Cha! cha! szalenstwo! Ja z nią! — I śmiał się sucho, straszliwie błyskając oczyma.

— Co mi tam! co mi tam!

Zaledwie się położył, ktoś do drzwi zapukał; wszedł służący.

— Panie!

— Czego chcesz i poco wchodzisz?

— Jakaś kobieta, Pawłowa.

— Czego chce Pawłowa?

— Nie wiem panie.

— Zawołaj ją tutaj.

Stara wpadła drżąc a zapłakana. — Ach! nieszczęście! paniczu! nieszczęście!

— Cóż się wam stało?

— Bartosz powrócił.

— I cóż z tego?

— A! i mnie wypędził i chatę zapalił, a sam z córką uszedł gdzieś w las.

— Z córką? w las? — powtórzył nieprzytomnie Jan. — No to cóż? niech idą sobie z Bogiem!

— Gdzież ja się nieszczęśliwa podzieję!

— Dadzą ci kąt! — Skinął ręką.

— Paniczu, bój się Boga! — zawołała wychodząc Pawłowa — nie żartuj a strzeż się, on ci gotów co złego zrobić!

— On? mnie! I Jan rozśmiał się, ruszając ramionami z dumą, pogardą i gniewem.

W tydzień potem znowu zgraja była we dworze, znów hulanka u pana Jana i przyjaciół huk, bo ci na zawołanie, tylko świsnąć jak na psy. Znowu konie skaczą, znów szczekają wyżły i gończe, butelki strzelają, panowie się śmieją.

Wśród tych gości wesołych, on chmurny choć się żywo obraca, choć mile mówi, głośno się śmieje, zachęca do hulanki, podsuwa kieliszki i wyzywa opowiadania obnażone a bezwstydną. Często wpół żartu wyrwie mu się westchnienie, potoczy dokoła oczyma, jakby się czego spodziewał albo lękał; zamilknie, siądzie i zamyśli się.

— Coto u licha Jasiowi? — dopytują się przyjaciele.

— A kat go wie! niezdrów może.

— On? daj Boże, aby moje konie takie zdrowe jak on były!

— To ta dziewczyna o której mówią, że z miłości dla niego oszalała, niepokoić go musi. Wszak o niej wiecie; ja ją widziałem, śliczna!

— Oszalała! Patrzcie! Ale boto on czasem zadaleko posuwa żarty. Wiecie, mnie raz poszczuła chartami.

— Myślał żeś lis i niewiele się omylił.

— Ogona mu tylko braknie.

— No! no! dość tego! Wyż mnie prześladujecie, o Arystydesy!

— Co za erudycja!

— Patrzcie jak Jan dziko spogląda, to nie jest wzrok jego zwykły.

Jan się zbliżył, umilkli.

— A co? na polowanie? — odezwali się niektórzy.

— Chcecie? jedźmy!

— Jedźmy — rzekł Jan — każę wam konie posiadłać, psy posmyczyć i z chartami.

— Cóż? po zasiewach?

— Co wam do tego! znajdę obłogi, a pójdzie zając w żyto, no, to i my za nim.

— Szalony!

— Co wam do tego!

Wydano natychmiast rozkazy, gdy służąca pani podkomorzynnej, która już dowiedziała się o polowaniu, przysłała od swojej pani przypomnieć, że to było święto uroczyste.

— Ale dajże mi pokój Nastusiu!

— Pani sama prosi pana!

Jan zamyślił się trochę, i gdy przyjaciele przyjmowali Nastusię otaczając ją kółkiem, on pobiegł do matki.

Naprzeciw nadchodzącego syna, który rzadkim był u niej gościem, podkomorzyna wyszła aż do sieni, i całując go w głowę: — Moje drogie dziecko, czy teżto prawda, że macie jechać na polowanie? Wszakcico uroczyste u nas święto.

— Kochana mammo, już po objedzie.

— Jeśli chcecie koniecznie, czemużby nie jutro?

— Dla mnie dziś, jutro, to wszystko jedno, ale moi panowie gwałtem się dziś napierają.

— No! to Bóg z niemi, niechaj sobie jadą, daj im konie i psy, a sam zostań. Przyszedłeś do matki, posiedzielibyśmy choć godzinkę razem, ja cię tak rzadko widuję!

— Moja mammo, ale toby było niegrzecznie.

Matka umilkła.

— A przytem — dodała uśmiechając się panna Tekla — wszak dziś wedle łacińskiego kalendarza nie jest święto.

Podkomorzyna nic nie powiedziała.

— Kiedy tak koniecznie chcecie...

— O ja! nic a nic! przejadę się tylko, głowa mnie trochę boli.

— A widzisz moje biedne dziecię, możeby ci kolońskiej wódki, alboby ogrzanie pomogło.

— Nie! nie! świeże powietrze, ruch! Dziękuję mamie.

I pocałował ją w rękę, matka go w czoło i jak była zwykła, pobłogosławiła krzyżykiem. Jemu nie wiedzieć czemu łzy się zakręciły w oczach, uściśnął rękę drżącą staruszki i zniknął.

W dziedzińcu stały już konie, psy się rwały, a panicze ujeżdżali swe wierzchowce, kręcąc w kółko po murawie. Jeden z nich krzyżując Nastusię galopem obwodził po podwórzu. Podano Jasiowi karego, on skoczył nań, zażył ostro, i po przedzie całej bandy wypuścił co sił stało, gdzie oczy poniosły.

Podkomorzyna stała w oknie, żegnała długo i powtarzała do panny Tekli: — Byleby się mojemu robaczkowi co nie stało!

Wyprzedzając się, wrzeszcząc, zacinając konie, przeskakując rowy i płoty, młodzież leciała w pola, a polami ku lasom, brzegiem których stanąć miano, dla rozpoczęcia polowania, zastępując uciekającej zwierzynie od boru, do którego by się schronić mogła.

Tylko co Jaś i towarzysze rozstawiać się poczęli, gdy Jan, który pozostał sam jeden oczekując na opóźnionych, usłyszał szelest w pobliskich krzakach.

O trzy kroki od niego, z zaognionemi oczyma stał Bartosz i trzymał go na celu.

— Nie rusz się, bo śmierć przyspieszysz sobie — zawołał szydersko. — No! przegęgnaj się i módl, daję ci chwilę póki tamci nie nadjadą.

Jan pobladł, zatrząsł się, dreszcz przebiegł po nim; domyślił się kto stał przed nim. Nadto był dumny, żeby w obec śmierci nawet bojaźń miał pokazać; machinalnie szukał broni, ale jej nie miał.

— No! poleć duszę Bogu, jeśli ją masz, a spiesz się.

— Czego chcesz?

— Ja? twojej krwi!

— Za co?

— Nie wiesz! Na zmycie plamy, którą ponoszę, na nasycenie pragnienia, które mnie pali. Tyś mi odebrał córkę, ja tobie życie.

— Córkę? jam ci jej nie odebrał!

— Tak! tylkoś mi ją zostawił zhańbioną.

— Ja nagrodzę.

— Ożeniłbyś się? — Stary się rozśmiał okropnie.

Jan milczał. — Co chcesz? spytał.

Twojej krwi! módl się, nie mam czasu! twoi nadjeżdżają! — W tej chwili strzał rozległ się głośny i blisko stojący już panicz zawołał:

— A to co za głupiec strzelił?

Obejrzał się i zdrętwiał.

Obłoczek sinawego dymu unosił się o kilkadziesiąt kroków od niego nad miejscem gdzie stał Jan. Kary wierzchowiec swobodnie leciał zadarłszy ogona, wierzgając, po polu skacząc. Na roli leżał Jan z rozdartą wystrzałem piersią, a krew buchała mu otwartymi ustami; obłąkane oczy niebieskie zataczał w koło, a ręką bezsilną chwycił się coraz ku sercu.

W chwili wszyscy go otaczali.

— Co to jest? co to się stało? — pytali jeden drugiego. Nikt odpowiedzieć nie umiał.

— Do domu! do matki! — słabym głosem rzekł postrzelony. — Nie szukajcie winnego, ja sam winienem, to przypadek.

— Ależ nie miałeś strzelby z sobą?

— Owszem, miałem; nieście mnie prędzej! prędzej!

Wzięto natychmiast Jana na zielone z gałęzi nosze i powolnie szalony orszak co dopiero ze śmiechem i swawolą przez wieś leciał, powracał z spuszczoną głową i chmurnem czołem do domu, wiodąc za sobą śmierć.

Podkomorzyna z panną Teklą nieszczęściem wyszły były na przechadzkę właśnie w tę stronę, z której Jan omdlały, krew lejąc po drodze, powracał.

Pierwsze oko matki ujrzano niepojęte w początku skupienie młodzieży, wracającej pieszo i tłumnie a tak szybko do dworu.

Serce matki zabiło. Mimo wieku i osłabienia podbiegła żywo, i bez przygotowania niespodzianie trafiła na widok, który ją przytomności pozbawił. Padła omdlała, obejmując rękami na wpół tylko żywego syna.

Nikt nie pytał, nikt nie tłumaczył co się stało. Ludzie otrzeźwiwszy nieco mdlejącą bezustannie, ponieśli ją na rękach do domu. Wszyscy słudzy pospieszyli po lekarzy do miasteczka, ale krew obficie wylewająca się ustami postrzelonego, dla nieświadomych zdawała się niechybną blizkiej śmierci oznaką. Droga którą niesiono Jana, dziedziniec, łożo, pokój, młodą tą krwią tak marnie przelaną zbroszone były. Podkomorzyna leżała w gorączce i spazmach.

Większa część przyjaciół przestraszonych, lękając się odpowiedzialności, zapytań, dochodzeń urzędowych, natychmiast niby po lekarzy powynosiła się cichaczem. Dwóch tylko czy trzech odważniejszych pozostało.

Nocą dopiero nadjechał lekarz i ranę zaledwie wśród powszechnego popłochu obandażowaną opatrzył na nowo. Jan strzelony był o cal wyżej serca, a kula przeszła piersi na wylot i wyszła ponad lewą łopatką.

— Czy będzie żył? czy wyżyje? — pytali słudzy, dworacy, oficjaliści.

Lekarz choć głową pokręcał, ale nadziei nie tracił, nic ani tak, ani owak nie mówiąc. Co było koni, rozesłano po innych doktorów. Tymczasem ekonom, rządcą, pisarze i cała zgraja sług, o sobie pamiętając, na wszelki przypadek oczyszczała śpichlerze, magazyny, stodoły i wywoziła ze dworu, co tylko dało się pochwyć wśród zamieszania.

— A coto ja mam być gorszy od drugich — mówił ulubiony sługa Jana, pakując co lepszego z pańskiej garderoby i przeglądając szkatułki. — Czemu to ja nie mam się pożywić kiedy wszyscy biorą?

Wśród powszechnego rabunku, ledwie kto pozostał coby przy łożu pani i syna chciał siedzieć. Jak wszędzie, ubożsi tylko i biedniejsi wierni byli nieszczęściu.

Oslabiona, przerażona podkomorzyna w nocy znalazła siły, żeby się zwlec z łóżka do syna. Rozpytywała otaczających go, co było przyczyną tak strasznego wypadku; ale nikt odpowiedzieć nie chciał, i nikt też dokładnie nie wiedział. Jedni utrzymywali, że strzelba czy pistolet, który Jan zawieszony miał na sznurze, targnięty w pędzie wystrzelił, drudzy, że jakiś nieznajomy człowiek z lasu wyszedłszy, stanął naprzeciw Jana, powiedział do niego słów kilka, jakby mu coś wyrzucał, zmierzył w piersi i wystrzelił.

Wyrazy wszakże Jana, który w pierwszej chwili wołał: „To przypadek, nikogo nie szukajcie!” najmocniej dowodzić się zdawały, że baśń o owym człowieku była skleconą tylko.

— Któżby śmiał! ktoby mógł? — mówiła podkomorzyna — strzelić do tego anioła dobroci! Komu on zrobił co złego? mógłże mieć nieprzyjaciół?

Matka, która ani rodzaju życia, ani nawet najpospolitszych codziennych czynności rozpieszczonego dziecka nie знаła, pojąc takiej zemsty nad niem nie mogła.

Między ludźmi pocichu wieść się rozchodziła, że Bartosz, ojciec Julusi, strzelił do pana Jana. Dojeżdżacz który stał nieopodal zaklinał się, że go widział doskonale, słyszał nawet że coś wprzód mówił, ale zrozumieć nie mógł. Matce nic o nim nie wspomiano. Rządca tylko natychmiast nakazał obławę w lasach, i sam z kilkunastą ludźmi poleciał ścigać budnika.

XX

Był wieczór późny, a po lesie rozlegały się hukania i rozświecały łuny zapalonych na pobrzeżu ogni. Bór dokoła opasywano strażami, które do dnia białego wartować miały. W dalekim ostępie, na zielonej łące, którą otaczały gęstsze nieprzebyte, wznosiło się wzgórze piaszczyste, porośnię suchą trawą, mchami srebrzystymi, posiane igłami otaczających kilku sosen. Gdzieniedzie żółta, biała lub różowa nieśmiertelniczka, podnosiła główkę bez życia, na tej darni martwej jak ona.

U podnóża wzgórzka, pod starą sosną palił się pień wyrąbany, w którym nagromadzono smolnego luczycy; kopcąc więcej niż oświecając i grzejąc.

W zwieszonych ku ziemi gałęziach drzewa, upleciony był szałas przykryty pucynaną świeżo leszczyną, dębiną, osiczyną i wonnymi warkoczami brzozy. U samego wnijscia szałaszu błyszczała trocha rozpalonego ognia. Opodal od niego siedział zadumany z odkrytą głową, ze strzelbą nienabitą obok na ziemi leżącą Bartosz, budnik, wpatrując się w ogień temi oczyma, które skierowane na jeden przedmiot, nie chcą znieść z niego, bo już niczego na świecie nie szukają.

Przed nim na gałęziach i rozosłanej świcie, bielą martwe ciało umarłej Julusi, której twarz błada w czarnym warkoczach włosów, wydawała się jakby chustą pokryta. Przymknięte miała powieki, zawarte usta sine, a ostatnim znakiem niedawno ubiegłego życia, było kilka kwiatów uczepionych na skroni. Obląkanie tylko mogło ją tak ustroić w godzinę śmierci.

Z drugiej strony umarłej, siedział Maciej, który strugał nożykiem luczycywo i do ognia przyrzuczał. Z niejakim strachem poglądał na martwe ciało siostry, to znów na zdrętwiałego ojca, który łzy nie ronił i słowa nie rzekł.

Choć dosyć daleko stały zwołane obławy, huk ich aż tutaj dochodził, głosy aż tu dolatywały. Lecz prócz Macieja nikt ich nie słyszał.

— Słyszycie tatulu! — zcicha ośmielał się niekiedy wybąknąć syn, a Burek też piszczal lub zaczynał wyc smutnie, ale jedno spojrzenie Bartosza zamykało usta synowi i pies podtuliwszy ogona uchodził skryć się w kątek za gałęzie.

Coto będzie! coto będzie! — mruzczał Maciej. — Jeśli ja wiem coto będzie, niech mnie kaduk porwie. Siostra umarła, ojciec gdyby słup nieprzymierzając, chata spalona. Ciekawości! ciekawości!

Wilcy zaczęli wyc w oddaleniu.

— Ot i to potrzebne — mrucał Maciej ruszając ramionami. — A ten Burek taki głupi swoim wyciem, gotów ich nam tu naprowadzić. — I syknął na psa.

Stary tymczasem rzucił się na kolana i modlił się, a modląc rozplakał i upadł na ziemię twarzą.

— Ot i tatulowi coś — rzekł Maciej. — Tylko ja co się podobno zostaną; ta i Burek, jeśli nas wilcy nie pojedzą.

Bartosz nareszcie podniósł łysą głowę, zwałaną piaskiem i ziemią, i zawołał:

— Módl się! Czyż i u grobu siostry, ani ci co w sercu zabije, ani łza nie przyjdzie. A Boże!

Maciej posłuszny rzucił nóż, którym strugał łuczywo i pokłękł, przeżegnał się bez omyłki i głośno jak dziecko począł bez zająknięcia pacierze odmawiać, a skończywszy wszystkie ile ich umiał, przeżegnał się znowu i wstał.

— Już! — rzekł do ojca.

Ten ściągnął się tylko z ziemi podpierając ręką. — Do roboty! rzekł. Widzisz, że leży bez trumny, zrobim jej trumnę choć z dranic, niech nie wała się biedne dziecko bez pogrzebu. Do siekiery.

Straszno było patrzeć na tego starca, który podwajając siły z rozpaczą i gorączkowym pośpiechem, ciął drzewo potężnie i odrzucał ogromne trzaski. Sam on miarę wziął na ciało córki, sam kierował robotą trumny, która w kilka godzin mizernie skleconą została. Ukląkł starzec wyściełając ją mchem i nieśmiertelnikami, a potem napozór obojętny, postąpił ku ciału córki. Ale tu znów boleść nim owładła niepokonana, padł na jej ciało i płakał.

— Dziecko moje! dziecko moje! — mówił głosem przerywanym łkaniem — takiżto ja dzień w mej starej głowie marzyłem dla ciebie! Myślałemże kiedy, że ci zbójca w lesie z kradzonego drzewa trumienkę ciosać będzie i na nieświęconej ziemi, krwią zmazanemi rękoma, zwiędłą zawczasu i obłąkaną nawet w godzinę śmierci — pogrzebie! O mój Boże! jedno chowam, a drugie! drugie! Bóg wie jak ono skończy! Żegnaj mi dziecko drogie, przynajmniej cię teraz ręce cudze nie dotkną; ja sam złożę cię na wieczny spoczynek, jak ty ojca położyć i powieki mu przysypać miałaś. Zadługo żyłem, zadługo!

I na silne wzięwszy ją ręce, podniósł z ziemi. Naówczas czarny jej warkocz ogromny rozsypał się aż na darni, i kwiatki z niego posypały. Ojciec ukląkł i pozbierał je do jednego. Maciej patrzył z otwartą gębą i trochę się krzywił; zdawało mu się że zapłacze, ale na to zebrać się nie mógł.

I znowu podniósł ją ojciec, a powolnie stąpając,łożył ostrożnie w ubogiej trumience. Tu jak matka do snu w kolebce układa dziecko, ułożył jej na krzyż ręce, głowę na czarnym warkoczu i pokrył zrywając z siebie, czem tylko mógł, jakby ją od chłodu osłaniał jeszcze. Potem pocałował w czoło, i z ojca znów stał się grabarzem. Klęcząc zabił ćwieki drewniane trumienki, i szpary gęsto, starannie, suchym mchem pozaciskał.

Skończywszy, wyszukał drzewo, które obciosał naksztalt rydla i skinął na Macieja.

Domyślił się i on przecie, że dół kopać było potrzeba. Przy słabym płomyku dogorywających łuczyw, starzec żywo jakby pospieszał, oglądając się na wschodnią stronę nieba, odrzucał żółty piasek; obok syn czynił toż samo, ale powoli i niezgrabnie. Burek siedział przy trumience i wyl żałośnie.

Na dzień się zabierało, gdy grób był gotowy. I spuścili ją powolnie w nieznaną mogiłę, a ojciec pierwszy posypał senne oczy biednej dziewczyny garścią żółtego piasku.

I sypali mogiłę, sypali aż rozwidniało i rozedniało, a dzień był jasny na niebie i huk postępującej obławy zewsząd słyszeć się dawał, gdy Bartosz wyciosawszy krzyżyk, wkopał go w głowach Julusi.

Maciej upadł na ziemię zmęczony. Starzec pochylił się tylko na grób i nieruchomy pozostał.

A ptaki świergotały na drzewach i wiatr chłodny, orzeźwiający, powiewał i słońce podnosiło się jasne, rozpromienione, wesołe.

W parę godzin obława schwytała starca i syna leżących jeszcze u mogiły Julusi, Maciej był usnął.

Bartosz dał się związać, zabrać i prowadzić w milczeniu; powiedział tylko kilka słów do rządcy, aby Macieja wypuścił, przynajmniej się od razu do całej winy. Jakoż nie wiązano nawet syna, którego znano z tchórzliwego charakteru i ograniczonej głowy. Ojciec odwrócił się

parę razy za nim, sądząc, że pozostanie w lesie, ale instynktem jakimś Maciej razem z Burkiem, powłókł się krok w krok za prowadzonym Bartoszem.

XXI

We dworze kilku lekarzy otaczali łoże pana Jana i jego matki; ona także znów w gorączce i bezprzytomna leżała. Syn postrzelony, chociaż kula przeszła mu po nad sercem, nie był raniony śmiertelnie. Pomimo niebezpieczeństwa, mógł wyżyć i znieść ten postrzał, który o cal tylko niżej byłby go trupem położył.

Ale napróżno pocieszano tem matkę, która zrozumieć nawet co jej mówiono nie mogła. Musiano wreszcie przenieść ją w lektyce do syna, aby go sama siedzącego zobaczyła i żywego; dopiero tym środkiem zdołano powrócić jej przytomność i zdrowie. Wprzód bowiem wierzyć nie chciała, że żyje.

Ale wzruszenie wielkie wstrzęsło do reszty słabym umysłem i osłabiło ją nadzwyczajnie; zestarzała nagle i straszliwie, zgrzybiała w dni kilka. Najmniejszy szelest, śmiech, odgłos, uderzenie drzwiami, hałas w domu, przerażały ją i nabawiały milczącym strachem. Drżała przed każdą nieznaną twarzą, a choć dotąd nie wiedziała kto do jej syna strzelił, jakiś instynkt macierzyński kazał się jej wszystkich obcych obawiać.

Jan także innym powstał z tej choroby człowiekiem; z krwią wylaną z młodej piersi, którą opłacił zały młodości i występki swój, ubiegło zeń wiele złego. Pierwszem staraniem gdy przyszedł do siebie, było uwolnić od wszelkiego prześladowania Bartosza. Z trudnością to wprowadzie przyszło, ale że Jan żył i sam się o to starał, dokazano że budnik oswobodzony został, wymagano tylko aby się z tych stron oddalił. Jan hojnie opatrzyć chciał potrzeby starca, ale ten ze wzdargą i gniewem ofiarę odepchnął. Rozsypane pieniądze po izbie zebrali świadkowie, a stary wziął tylko swoją strzelbę z kąta, i wyszedł słowa nie rzekłszy. Maciej i Burek pociągnęli za nim.

Nim liście z drzew opadły na mogiłę Julusi, znaleziono budnika skrzepłego na złotym usypie, obok krzyżyka, który oznaczał grób córki.

Maciej i Burek siedzieli poniżej, jeden plótk łapcie, drugi kawał suchego chleba ogryzał.

We dworze spytacie jeszcze.

Wiele się tam choć powoli zmieniło. Nie ma już hucznych jak przedtem zabaw, ani szalonej młodzieży, ani rozpasanych przyjaciół. Jan podstarzał i siedzi przy matce, której dwór oprócz panny Tekli zupełnie nowy. Macieja zrobiono leśniczym, a Burek dotąd się za nim włóczy, i często mógłby sprawiedliwie użalać się na niewdzięczność swojego pana, gdyby psy nie były daleko poczciwsze od ludzi, a nadewszystko cierpliwsze!

Prawda, że też to psy tylko!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/budnik>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Budnik*, Wyd. nowe, przejr. i popr. przez aut., Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, Lwów, Księgarnia Michała Glücksberg, Warszawa, 1874.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0414-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).